Nr. 25. Warszawa, dnia 7 (19) Czerwca 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentów półrocznych i kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty.

POLITYKA.

O TESSALIĘ.

Gdy po wejściu Turków do Domoko przynajmniej dziennikarze europejscy, jeśli nie dyplomaci bezpośrednio do działania powołani, zajęli się żywo rozpatrywaniem warunków pokoju — nie mogła ich uwagi ujść uporczywość, z jaką telegramy stambulskie przynosiły objawy patryotyzmu tureckiego na punkcie Tessalii. Jak Edhem-basza, tak i opinia publiczna uznały kraj przez ustąpienie Greków wpadły w moc Turków za dobrą zdobycz; Szeik-ul-Islam w imieniu Allacha zażądał pozostania w Tessalii; softowie zrobili manifestacyę; wreszcie Edhem po żniwach, odbytych armatą i karabinem, zabrał się do żniw z sierpem, aby, niezrozumiałym dla nas obyczajem, stwierdzić i zarazem wykonać prawo politycznej własności tureckiej nad podbitą ziemią.

Gdy wreszcie, po długiej opieszałości, wywołanej przez niezgody, dyplomacya europejska, zmarnowawszy czas wojenny, przez samą logikę postawiony jej na ułożenie aktu zawieszenia broni i traktatu pokoju, zaczęła poważnie radzić nad jednym i nad drugim — okazało się, że robota idzie jej niesporo, że ją psuje ciągle nietylko ów „koncert,“ ale i turecka zuchwałość. Ani o wysokość kontrybucyi, ani o ustąpienie z Tessalii, ani o kapitulacyi porozumieć się z Abdul-Hamidem, z Tewfikiem nie było sposobu. Przytrzymani już za połę, wyrywali się napowrót i uciekali od zgody; dyplomaci, co prawda, nie bardzo ich gonili. Do tej chwili charakter działalności dyplomatycznej Turków nie uległ zmianie, choć czas płynie, a do sześćdziesięciolетnich godów królowej Wiktoryi bardzo już blizko. Na pewne już powiedzieć można, że kalif nie złoży na ten dzień podarunku, którym miał być właśnie pokój z Grecyą.

Taka zwłoka i taki upór nie byłyby możliwemi, gdyby ich nie popierały mocarstwa przez tolerowanie w Turkach zasady, którą same wyznają. Co oręż podbił, to dobrze podbił; Tessalia jest dobrą zdobyczą, i można ją tylko łagodnością, uprzejmością, kontrybucyą, wszelkimi zresztą innymi środkami, wytargować, wykupić u sułtana; ale przeczyć mu, że dobrze posiada i dobrze zatrzymać pragnie, nie wolno: takie jest stanowisko dyplomacyi. Po szesnastu już latach nie pamięta się, że w imię innej znowu zasady, bez wojny, bez rozlania jednej kropli krwi też samą Tessalię dano Grekom, chociaż ta prowincya grecka przez całe cztery stulecia i dłużej była dobrą zdobyczą Turków.

Depesze najnowsze donoszą o zmęczeniu się już dyplomacyi europejskiej pożądliwością turecką. Baron Calice zapowiedział, że o powrocie Tessalii pod Turcyę marzyć nawet dyplomatom tureckim nie wolno. Wstyd nie pozwala Europie stać na zasadzie podboju po stronie nie-chrześciańskiej Turcyi przeciwko chrześciańskiej Grecyi i poddawać kilkakroć sto tysięcy ludu do cywilizacyi chrześciańskiej należącego pod jarzmo padyszacha. Gdyby nie wstyd, to dla samego uniknięcia prejudykatu, który w niejednym wypadku mógłby się stać niedogodnym, dyplomacya europejska wolałaby widzieć Tessalię w ręku zdobywcy, silniejszego, niż odwiecznego posiadacza, ale słabszego, uległego w boju, więc *eo ipso* mającego sprawę gorszą. Z całego miesiąca czasu, dopóki trwała wojna, nie umiano skorzystać, choćby tylko na to, żeby w pierwszej zaraz chwili po ustaniu, zgodnie zapowiedzieć Turkom, że prócz wąwozów niezbędnych w górach na południo-zachód Olimpu ani jednej piędzi ziemi greckiej nie dostaną. Silne walki staczać musiała dyplomacya ze swojem specyalnem sumieniem, aby nie skrzywdzić Turcyi, a znowu Grecyi nie wydawać jej zupełnie na pastwę.

Mechanika namiętności w sprawie obecnej skończy się tem, że stare poczciwe prawo podboju, którem dotychczas wypasały się dzieje — wyjątkowo ustąpi miejsca owemu cywilizacyjnemu wstydowi, i tylko strategiczne sprostowanie granicy pozwoli się mu jeszcze, w skromnej przecież mierze, dla samej zasady, przejawić. Bardzo być może, iż Turcy dostaną bieg Peneiosu aż do ujścia, a Xerasu (Xeragi, Wurgaris) aż do Tyrnawo. Kosztów wojennych domaga się Ildiz-kiosk teraz już, nie pięciu, ale sześciu mil. funtów. Zgadza na utrzymanie przywileju kapitulacyi (głównie sądownictwo konsularne), ale dopomina się jakichś ekspertyz, badań, dochodzeń, stukania w palce, zajączków na ścianie itp. Słowem, potężna Europa stoi jeszcze ciągle na słocie niepewności, a sułtan patrzy na nią z okna tryumfująco w poczuciu potęgi, która wystarczyła też do złamania słabych Greków i wystarcza do przetrzymywania Europy. Walka interesów europejskich daje jej tarczę i ostoję i hasło: *Festina lente.*

Tydzień polityczny. Piąta konferencya turecko-europejska w Stambule odbyła się d. 14 b. m. Zaraz po niej ambasadorowie złożyli osobną naradę. Sułtan zwraca się z prośbami do Rosyi i Niemiec, aby go nie krzywdzono w prawach nabytych przez podbój do Tessalii. Pokoju nie będzie na 22-go, dzień obchodu sześćdziesięciolecia tronowego w Anglii; ale królowa Wiktorya będzie miała przyjemność: wysłuchania życzeń sułtana, którego Gladstone „wielkim mordercą ludów“ nazywa. Trzy komisye graniczna, kapitulicyjna i konstytucyjna, zabrać

się mają do roboty zaraz po podpisaniu punktów przedugodnych. Są to jeszcze rzeczy dalekie. Budowa pokoju wlec się będzie przez lato. Grecya znajduje się w zupełnym rozstroju — tak, iż nawet w Kreteńczykach słabnie już chęć połączenia się z królestwem. Ministeryum Rallisa jeszcze się trzyma. Następczyni tronu pieczołowitością o rannych zabliźnia rany zadane dynastyi przez źle prowadzoną politykę i gorzej jeszcze przeprowadzoną wojnę. Praca wewnętrzna nad samym sobą powinna Grekom z królestwa zastąpić wszelką wielką, wielkonarodową politykę. Państwo i społeczeństwo zarówno potrzebują się odrodzić.

Na p. Faure'a wykonano w Paryżu d. 13 b. m. zamach, którego prezydent nawet nie poczuł. Kiedy jechał do Longchampsa rozległ się przy drodze strzał, a po nim zostało trochę dymu w powietrzu, na ziemi zaś rurka żelazna z nabojem, rewolwer, proklamacya, sztylet i policyant szukający przestępcy. Ponieważ sprawca umknął, a strzał wypadł z tego miejsca, na którem rozsrożona publiczność zdybała sługę pokoju, niewiele zatem brakło do błyskawicznego *lynchu*. Poturbowano policyanta straszliwie, tak, że aż minister spraw wewnętrznych musiał mu dać medal zasługi. Postawa publiczności wzbudziła zapał w prasie: przywiązanie do prezydenta jest przywiązaniem do rzeczypospolitej, a co ważniejsza, i do porządku. Dotychczas sprawcy nie wykryto. Panujący i ambasadorowie poskładali życzenia szczęśliwie uniknionego zamachu.

Transwal obchodzić będzie 60-tą rocznicę panowania królowej angielskiej jakby własne swoje święto. Uprzejmość z wyrachowania.

W Wiedniu cesarz wezwał Ludwigstorffa i Chlumecky'ego z Niemców czeskich do podjęcia ugody z Czechami. Rząd zabronił zbiegowiska niemieckiego w Chebie (Eger), zwołanego na 13 b. m. Wielki stąd krzyk. Schönerer, patryota austryacki w duchu bismarkowskim, jest jednym z głównych podżegaczów. Na radzie koronnej postanowiono zażądać od delegacyi znacznego podwyższenia funduszu na siłę zbrojną i obwarowania.

W Berlinie mały przewrót. P. Miquel, minister skarbu królestwa pruskiego, zamienia się na urząd z p. Posadowskim, sekretarzem skarbu rzeszy, ale jednocześnie zostaje i pomocnikiem kanclerza. Bötticher pewnie ustąpi. Przewrót nie został jeszcze ujęty w urzędowe nominacye.

Kaszubi pobili Niemców na wyborach w Starogrodzkiem: przeprowadzili p. Wolszlegiera.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SAMORZĄD I GOSPODARKA MIEJSKA.

W ostatnich czasach coraz uporczywiej krążą pogłoski o wprowadzeniu samorządu miast w Królestwie Polskiem. W jakiej formie i rozciągłości będzie on zastosowany, o tem dziś jeszcze za wcześnie mówić. To tylko zaznaczymy, że samorząd ten należy do najpilniejszych spraw, gdyż obecna gospodarka w miastach naszych jest wprost szkodliwą dla interesów ogółu. Szczególnie Warszawa wyrobiła już sobie smutną sławę w tej mierze, do czego przedewszystkiem przyczyniły się przedsiębiorstwa, prowadzone pod kierunkiem Lindleya.

Niech nasze wnioski poprzedzi i kilka faktów wymownych. Przed dziesięciu laty zamówiono u pana inżeniera naczelnego plan miasta (skala 1 : 250), na co ofiarowano 290,000 rs., nadto 100,000 na urządzenie pracowni, z warunkiem, aby robota była wykończona najpóźniej do 1 stycznia 1891 r. P. Lindley sprowadził z Prus specyalistów, kazał im płacić ogromne pensye; jeden z nich zaś pobierał aż 6,000 rs. rocznie. Na termin jednak roboty nie wykończono, pomimo że wydano 200,000 rs. P. Lindley oświadczył, że plan może być skończony na 1 stycznia 1895 r., ale w takim razie, jeżeli do powyższej sumy otrzyma dodatek w kwocie 60,000 rs. I na to przystali gospodarze miasta. Upłynął atoli i drugi termin, a planu p. Lindley nie dostarczył, natomiast wyznaczył termin trzeci na lipiec 1896 r., z warunkiem dołożenia do powyższej sumy jeszcze 25,000 rs. I na to miasto się zgodziło. Trzeci jednak termin upłynął, a planu dotąd nie ma. Nie koniec na tem: p. Lindley w roku bieżącym zdołał wyjednać jeszcze 6,000 rs. na „skompletowanie planu." Pomijając to paręset rubli, które miasto złożyło na ofiarę wyzysku i prywatnych interesów przedsiębiorcy, Warszawa bardzo dużo traci pod wielu względami. Przedewszystkiem z powodu braku planu, nie można przeprowadzić w mieście regulacyi odpowiedniej, pomimo że ruch budowlany gwałtownie i nieustannie wzrasta. Miasto rozwija się nieprawidłowo, co niewątpliwie ujemnie oddziała na przyszły jego rozwój.

Wszyscy mamy świeżo jeszcze w pamięci fakt lekceważenia potrzeb miasta przez zupełny brak wody w Warszawie przed paru laty, dlatego, że nie położono rur zapasowych. Oszczędność ta nie była obawą wyczerpania lub nadwątlenia funduszów miasta, lecz tym samym systemem nabijania własnego trzosa przez gromadę przedsiębiorców z głównym jej kierownikiem zagranicznym na czele.

Błędy gospodarki miejskiej nie na tem wszakże się kończą. Oto przed trzema laty na projektowanem wówczas przedłużeniu ulicy Złotej od Zgody do Szpitalnej, w ogrodach szpitala zbudowano kosztem kilku tysięcy rubli kanał, który dotychczas pozostawał bez użytku, w oczekiwaniu na przedłużenie ulicy Złotej. Obecnie zaś okazało się, że kanał ten jest w niewłaściwem miejscu, więc o kilkadziesiąt kroków od niego wzdłuż Przeskoku zaczęto budować inny, równoległy, dawniejszy zaś będzie zasypany. Podobno ta omyłka kosztuje około 6,000 rs. Były jeszcze inne „omyłki" na tem samem terytoryum. Oto gdy już szpital Dzieciątka Jezus nabyto i budynek instytutu położniczego przeznaczono na rozbiórkę, pośpieszono jeszcze gruntownie odnowić i otyn-

---

7)

W. DOROSZEWICZ.

Na Sachalin.

XVIII.

Morze.

Co za dziwna planeta!

Planeta z fałszywym dowodem legitymacyjnym. Nosi ona nienależną jej nazwę: „Ziemia."

Jakaż to planeta „Ziemia," skoro to jest „Woda."

Ziemia pływa w niej, jak kawałki pomarańczy w kruszonie.

I trzeba zuchwalstwa, ażeby się nazywać „ziemią," gdy przeważnie jest wodą! Zresztą Bóg z nią; „niech się nazywa."

Chcę pisać nie o tem zlepionem błocie, które się nazywa ziemią, lecz o cudnym, bezgranicznym, wiecznie żywym przestworze.

O morzu.

Morze — to cicha melodya, która głaszcze i kołysze.

Morze — to szumne akordy, które duszę napełniają strachem, wzruszeniem i przerażeniem.

Morze — to kobieta utkana z nerwów. To łagodnością, to szałem goreją jej oczy.

Morze — to szare oczy pięknej kobiety, które świecą blaskiem niebieskawym, jak niebo; „niebo duszy" w nich się odbiło — zapalają się i błyszczą.

Morze — to cudna syfonia, którą napisała przyroda w chwili natchnienia, modląc się do Stwórcy.

Dlatego właśnie niebo się odbija w tej symfonii.

To rapsodya z barw i dźwięków, napisana przez jakiegoś wielkiego Liszta.

Oto już pół miesiąca, jak słucham jej dźwięków i jeszcze nie mogę się nasłuchać tych akordów, melodyj, tych bajek czarownych, które opowiadają sobie fale.

Co za wspaniała rapsodya!

Zaczęła się posępnymi, basowymi akordami morza Czarnego. Akordami ciemnych, rzeczywiście czarnych fal, które się podnoszą z bezdennej otchłani wód, z piana rzucają się na siebie, ścierają, z jękiem śmiertelnym rozbiegają się na różne strony i toną.

Tylko piana kipi tam, gdzie pozostała fala.

To marsz pogrzebowy, gdzie fale, uderzając o statek, powtarzają ciągle ten sam ciężki, groźny akord basowy.

Ciemna bezdeń u dołu.

Ale oto wybuchła ona barwą turkusową i znikła.

Wybuchła tam i tu. Co za dziwne, kokieteryjne akordy.

To Bosfor.

Złoty promień słońca, uderzając w ciemne, fioletowe fale, zapala je blaskiem turkusowym. Fala goreje, drży, błyska, rozpływa się, słabnie, gaśnie i znowu mieni się barwą ciemno-fioletową.

Wiatr coraz silniejszy.

Coraz rzadziej i rzadziej mieni się blask turkusowy, fale pienią się, kipią; zapada mrok. Z głębi morza wypływają cienie i machają swojemi koszulami śmiertelnemi.

To *danse macabre* morza Marmora. Coraz dalej i dalej nikną w mrokach ciemne sylwetki wysp Książęcych.

Jakby jakieś dziwadła przerażone uciekają od strasznego tańca nieboszczyków morza.

Przyświecają im drobne błotne ogniki, dalekie ogniki Konstantynopola.

Świst, śmiech, ryk rozlega się w szale burzy.

Coraz szaleńsze tańce nieboszczyków, coraz wyżej powiewają ich koszule śmiertelne.

Jak błyskawica przetnie czasem tę masę tańczącą blask fosforyczny, przemknie jaskrawo długim pasem i zgaśnie.

Błyśnie tu i tam.

To burza morska, podczas której błyskawica świeci w falach, a grzmotem jest szum fal.

Coraz bezładniej mknie korowód. Od jego śpiewu, krzyku, płaczu nigdzie uciec nie można.

To odgłosy mkną za nami do kajuty, napełniają sobą ciemności.

Parowiec skrzypi.

W tem cichem skrzypieniu i trzasku drzewa, jakby słychać modlitwę. Jak

kować ten gmach kosztem paru tysięcy rubli.

To samo widzimy w innych działach gospodarki. Przed laty, zdaje się, dziesięciu czy dwunastu, na ulicy Chmielnej między Nowym Światem a Marszałkowską ułożono sposobem próby bardzo kosztowny bruk z asfaltu prasowanego. W rok, czy we dwa lata potem bruk ten zniesiono zupełnie, gdyż przez ulicę Chmielną musiano przeprowadzić kanalizacyę. Widzieliśmy coś podobnego i później w wielu innych miejscach. Jeden przedsiębiorca układa kosztowne bruki i chodniki po to, żeby drugi niszczył je wkrótce potem dla kanalizacyi. Odnowienie gmachu na parę miesięcy przed jego zburzeniem, gdy o tem już powszechnie jest wiadomo, to przecież nie piecza o dobro instytucyi. Cała najważniejsza gospodarka miasta naszego pozostaje w rękach spekulantów i pośredników, na których zbogacenie składają się mieszkańcy, pod postacią podatków różnorodnych. Miasto w przedsięwzięciach ważniejszych prawie zupełnie jest pozbawione inicyatywy i samodzielności. Nie miało ono odwagi i środków na przeprowadzenie tramwajów, które dziś obcym kapitalistom dają ogromne zyski. W ciągu r. 1896 miały one 2,334,019 franków (!) dochodu. Czysty zysk wyniósł 516,496 fr., z których na korzyść akcyonaryuszów wypadło 475,800 fr. Owi kapitaliści, pewni powodzenia stałego, lekceważą potrzeby ogółu mieszkańców, na niektóre pociągi, przychodzące przed 8-mą rano, nie wysyłają wcale wagonów, trzymają stosunkowo zbyt mały personel, obarczany nadmierną pracą dla zwiększenia dywidendy. Przedsiębiorstwo to, nie rozwinąwszy dostatecznie komunikacyi w szerszym zakresie, nie uwzględniwszy dzielnic uboższych, najbardziej pożądających tramwajów, jednocześnie zmonopolizowało ową komunikacyę, nie pozwala innym wprowadzać udogodnień tam, gdzie samo ich nie wprowadziło.

Mniej więcej podobny stan rzeczy widzimy i w innych miastach Królestwa Polskiego. Gospodarkę dzierżą w swych rękach spekulanci i pośrednicy, tamują rozwój miast i obarczają nadmiernym ciężarem ich ludność. Z tego właśnie względu pożądana jest reforma, stworzenie stosu, w którego skład mogliby wchodzić obywatele tych ognisk i decydować o swoich potrzebach. Tylko przy samorządzie, złożonym z ludzi energicznych, światłych, można mieć rękojmię, że gospodarka będzie intensywna, że miasto będzie samo przedsiębrało wszelkie najważniejsze roboty i będzie je prowadziło umiejętnie; że stanowczo nie znajdą tam pola dla siebie wszelkiego rodzaju spekulanci i pośrednicy.

Projekt samorządu miast w Królestwie Polskiem podobno już przesłano do oceny władz właściwych. Dodajmy wszakże, iż projekt ten jest wzorowany na ustawie miejskiej z r. 1892, obowiązującej w guberniach wewnętrznych, która w zastosowaniu praktycznem wykazała wiele niedokładności. Należałoby więc poszukać lepszych wzorów, zgodniejszych z potrzebami istotnemi ludności miejskiej. Popełnienie bowiem błędów przy wprowadzeniu reformy może sprowadzić smutne następstwa.

KRONIKA POZNAŃSKA.

14 czerwca.

Prawo kija i pięści. — Kara prasy polskiej. — Kilka faktów ucisku. — Dwie broszury z receptą na wytępienie Polaków. — Agitacya przeciwko uroczystościom. — Sprawozdania i raporty hakatystów. — Znikanie wielkiej własności ziemskiej w pow. Gnieźnieńskim. — Towarzystwo przyjaciół nauk. — Towarzystwo pomocy naukowej. — Towarzystwo naukowe w Toruniu. — Kwarantanna dla gęsi.

„Die beste Deckung ist der Hieb“ — „Najlepszą zasłoną jest kij!“ Taką maksymę wypowiedział jeden z głośnych twórców hakatyzmu, Tiedemann. Taką też zasadę w znaczeniu moralnem, społecznem i ekonomicznem Prusacy stosują bezustannie do Polaków. Istnieje u nich tylko prawo pięści, które szerzy obecnie spustoszenia śród prasy polskiej. Tak np. nakładcy i byłemu redaktorowi *Gazety Grudziądzkiej* wytoczono proces za... obrazę związku hakatystów. „Pokrzywdzonych“ żarliwie popierał prokurator. Tej samej gazecie przysłano naraz aż sześć pozwów w sprawach prasowych. Obecnie wielu redaktorów odsiaduje kary więzienne. Wiele procesów w biegu, bardzo zaś mały ich procent kończy się uwolnieniem redaktorów. Wogóle prasa polska w r. b. pod panowaniem pruskiem zapłaciła już 12,000 marek kary, oprócz zapłaty wolnością osobistą.

Szczególnemu prześladowaniu poddano także teatr polski: Prezes regencyi kwidzyńskiej w Prusach Zachodnich, p. Horn, idąc za przykładem policyi berlińskiej, zabronił trupie aktorskiej p. Majdrowicza dania kilkunastu przedstawień w Toruniu (w teatrze „Wiktorya“), pomimo, że dyrektor miał zupełnie lojalną koncesyę i że właściciel teatru, Niemiec, miał prawo wytoczenia procesu p. Majdrowiczowi za niedotrzymanie kontraktu. Na wszelkie przekonywania i prośby, p. Horn odpowiedział: „Możecie mnie skarżyć w Berlinie!“ Pomijając tu stronę moralną, fakt strasznego gwałtu, który w dziejach cywilizacyi będzie stanowić jedno z licznych świadectw hańby dla Prusaków, krok ten, tj. siła pięści i kija, pozbawił środków istnienia grupę ludzi, tułaczów, zawsze narażonych na głód i nędzę. Towarzystwo p. Majdrowicza wyrobiło już sobie uznanie, cieszyło się nawet powodzeniem w ciągu krótkiego istnienia. Obecnie trupa ta musi się rozwiązać.

Z wielu innych bieżących faktów ucisku zasługują na uwagę następujące: W Wągrowcu miejscowemu Towarzystwu przemysłowców zabroniono urządzania nietylko zabawy i wymarszu z chorągwią i muzyką, ale także i majówki w ogrodzie, „bo grozi to niebezpieczeństwem porządkowi i pokojowi publicznemu!..“ P. Franciszek Lipowski z Brudzewa, pow. Brudnicki w Prusach Zachodnich, skazany na 200 marek grzywny lub

---

gdyby parowiec bojaźliwie szeptał słowa święte śród strasznej orgii morza.

Kołyszą się i nurzają ognie statku spotkanego.

Jakby widma chwytają go za przód, za burtę, to za rufę, chcą rzucić, obalić, pociągnąć w bezdeń.

Statek odbija się ze wszystkich sił, jego syrena płacze, woła rozpaczliwym głosem tonącego.

A morze odpowiada na to świstem śmiechem i krzykiem.

Orgia milknie nad ranem.

Dardanele.

Tam w dali morza Marmora skończyły się szalone tany nieboszczyków. Fale cieśniny niosą tylko białe koszule śmiertelne.

Białe koszule śmiertelne i trofea:

Płynie maszt z żaglem, odłamki statku rozbitego.

Fale dumnie niosą je na swych grzbietach, z ciekawością przewracają na wszystkie strony, podnoszą, żeby je widziano.

Szkielet statku pogruchotany leży na brzegu.

Chłodny, silny, ostry wiatr i ciepłe słońce wiosenne.

Zamieć morska.

Wiatr nizko przebiega nad falami, zrywa ich wierzchołki i rozpyla w drobnych kropelkach. Pył wodny zapala się na słońcu wszystkiemi barwami tęczy.

Błyszczy ona śród białej mgły, pokrywającej morze; pojawia się to tu, to tam.

Płyniemy morzem tęczowem.

Jak tysiące dzwoneczków srebrnych, dźwięczą drobne krople, błyszczą czerwone, białe, zielone, żółte pyłki wody; brylanty, rubiny, szmaragdy zapalają się dokoła.

Tu i owdzie zapłoną niezliczone skarby i znikną jak sen.

Co to za obraz!

Ale dosyć fug, staccato, szumnych akordów basowych i dźwięcznych trelów. Następuje cichy, powolny marsz.

Ciężko, bezdźwięcznie kołysze się woda morza Śródziemnego — to błyśnie, jak złoto roztopione, to zciemnieje, jak ołów.

Z głuchym łoskotem toczą się jedna za drugą fale zatoki Suezkiej, jedna za drugą pokrywają tajemnice, które zawiera ten „cmentarz morski.“

Fale wstrząsają parowcem i jakby chciały powiedzieć:

— Idźcie sobie, idźcie — tutaj nasze tajemnice, tutaj my chowamy swoje ofiary.

I znowu błyski ciemno fioletowe pobiegły po morzu.

Morze czerwone.

Jego plusk miarowy, jednostajny — jak ballada starożytna, jak heksametr Homera, jakby opowiadanie o tem, co widziało morze.

Ale oto śród dźwięków miarowych heksametru rozległy się okrzyki, jęki, przekleństwa.

Ze wszystkich stron biegną ku parowcowi fale-zabójcy, fale-przestępcy.

Dziko fale cieśniny Babelmandebskiej. Fale, które się kryją u ponurych surowych, bezpłodnych brzegów Adenu i dostrzegłszy na widnokręgu statek, pędzą na niego, machając, jak orężem nad głową, wierzchołkami białymi.

Fale-tygrysy, które biegną z grzbietem przygiętym. Fale, w których się kryją krwiożerczo tygrysy morza — rekiny.

Oto ich ofiara:

Na maszcie parowca zatopionego migoce osierocony ognik. To maszt z belką poprzeczną, krzyż nad zabitym na wielkiej drodze.

Całą noc płyniemy śród fal rozbójników, zabójców, pośród ich szumu przekleństw i pieśni zbójeckich.

Rano przed nami błyszczy nieobjęta płaszczyzna — ocean Indyjski.

Jak łuski złote gorejące na słońcu drobne fale. Cicho pluskają o burtę parowca. Na niebie ani jednego obłoczka. Na morzu ani kosmyka piany białej.

Wszystko się zlało w jedną melodyę wspaniałą, nieskończoną.

Wieczór. Z jednej strony blizko tuż nad morzem pali się czerwona tarcza słoneczna; z drugiej — na takiej samej wysokości stanęła blada, jakby drżąca tarcza księżyca.

Jaskrawem, czerwonem złotem dopala się morze.

To tu, to tam uderzy nad wodą mała fontanna. Coś czarnego, ogromnego pokaże się na powierzchni.

To igra dokoła parowca stado potfiszów.

20 dni aresztu za... obrazę hakatystów. Nauczyciela, p. Pawlickiego w Strzyżewie pod Trzemesznem, zawieszono w urzędzie i proces dyscyplinarny mu wytoczono za to, że przed kilku laty urządził dzieciom szkolnym majówkę i kazał im śpiewać pieśni polskie. Z powodu przybycia ks. biskupa d-ra Likowskiego z Poznania do Babimostu, celem udzielenia sakramentu bierzmowania, landrat zakazał procesyonalnego wprowadzenia tego dostojnika kościoła, oraz iluminacyj i wywieszania napisów polskich; burmistrzowi zaś zalecił, ażeby w razie jakichkolwiek usiłowań w tej mierze, stawiał energiczne przeszkody.

Rozwiązywanie zebrań i stowarzyszeń polskich, pod naciskiem prześladowań, także nie ustaje. Oto hakatyści przyczynili się do rozwiązania katolickich stowarzyszeń nauczycieli w Wyrzysku i Śmiglu. W Polskim Cekcynie (Prusy Zachodnie) rozwiązano po raz szósty polskie zebranie ludowe. Przyczyną były pieśni kościelne. Zaśpiewano „Kto się w opiekę," a gdy chciano jeszcze zanucić pieśń „Serdeczna Matko," żandarm zaprotestował i rozwiązał zebranie. Lud polski bardzo jest pobożny, więc obrazę swych uczuć religijnych najdotkliwiej czuje. Taką obrazę popełnił żandarm pruski; wzburzył umysły w sposób najniebezpieczniejszy.

Hakatyści, nie poprzestając na czynach, starają się ciągle rozszerzać swój program w teoryi, podają nowe sposoby walki z żywiołem polskim i wogóle ze wszystkiem, co jest słowiańskie. Niedawno w Poznaniu wydano dwie broszury: *Polen und Deutsche in der Prowinz Posen* i — *Kritik und Reform der Germanisation in Posen*. Celem ich jest wynalezienie takiego środka, któryby najskuteczniej pozwolił wytępić Polaków w Poznańskiem. A więc: należy przedewszystkiem zjednać szlachtę, ażeby za jej pośrednictwem działać na najniebezpieczniejsze i najbardziej wrogie niemczyźnie żywioły: duchowieństwo i mieszczaństwo polskie; „to mieszczaństwo, które świeżo się wyrabia." Druga broszura wychodzi nieco z odmiennego stanowiska: zaleca szanować uczucia religijne i narodowe ludności polskiej, ale tylko pozornie, aby tym sposobem łatwiej uśpić czujność Polaków, tudzież osłabić ich odporność. Taką drogą autor spodziewa się wynarodowić nas. Utrzymuje, że tylko wraz z niemiecką książką do nabożeństwa niemczyzna może wkroczyć do polskich chat włościańskich.

Pisemko ludowe, wychodzące w Poznaniu p. t. *Posener Landbote*, stara się agitować na własną rękę przeciwko żywiołowi polskiemu i we wszystkiem upatrywać niebezpieczeństwo. Tak np. obchód jubileuszu św. Wojciecha uważa za manifestacyę narodową Polaków, zagrażającą Niemcom. Wzywa więc rząd i cały swój naród do prześladowania tego rodzaju „nadużyć polskich." Wzywa także biskupów katolickich Niemiec, ażeby położyli tamę takim uroczystościom, jak za czasów Bolesława Chrobrego biskupi niemieccy zaprotestowali założeniu arcybiskupstwa w Gnieznie. Podszczuwanie to jest na czasie, gdyż przypadają jeszcze w wieku bieżącym trzy podobne uroczystości: W roku przyszłym d. 11 czerwca upłynie 600 lat od śmierci błogosławionej Jolanty, patronki Gniezna, której zwłoki spoczywają w miejscowym kościele po-franciszkańskim. W r. 1899 dn. 20 października przypada 900-tna rocznica przeniesienia zwłok św. Wojciecha z Trzemeszna do Gniezna; wreszcie r. 1900 upływa 900 lat od założenia biskupstwa gnieźnieńskiego, pierwszego w całej Polsce. Przy tej sposobności uważam za stosowne dodać, że w obchodzie jubileuszowym męczeństwa św. Wojciecha, pomimo szykan Prusaków, wzięły udział tłumy wielotysięczne. Tych, którzy przyjęli w Gnieźnie komunię, obliczają przeszło na 30,000. To jest objaw psychologii masowej, zbiorowego wybuchu uczuć religijnych, oderwania się mas od codziennych drobiazgów życia materyalnego; fakt, z którym się liczyć trzeba. Tymczasem Prusacy, należący do społeczeństw ucywilizowanych, działają w taki sposób, jakby byli ciemną tłuszczą najeźdźców.

Przed kilku tygodniami główny zarząd hakatystów zwołał zebranie w Poznaniu, w którem, oprócz członków zarządu centralnego tudzież całego wydziału, wzięli udział delegaci grup ze wszystkich stron W. Ks. Poznańskiego i Prus zachodnich. Otóż na podstawie złożonych tam sprawozdań i referatów, organ hakatystów, *Posener Tageblatt*, przyszedł do przekonania, iż stowarzyszenie tępienia żywiołu polskiego cieszy się *wszędzie* wielką sympatyą i zyskuje coraz więcej przyjaciół.

Mogą się oni pocieszyć jednym objawem: coraz gwałtowniejszym upadkiem wielkiej własności ziemskiej na posterunku najważniejszym, w powiecie Gnieźnieńskim. Jest on dziś już zagrożony zupełnem wyzuciem Polaków z ziemi. Jeszcze przed laty dwudziestu należała tam do nich przeważna liczba dóbr ziemskich. Obecnie został ich tak mały procent, że za lat kilka zniknie zupełnie, a napór germanizmu, nie mając żadnej tamy, zaleje całkowicie tę cząstkę kraju.

Prześladowanie żywiołu polskiego stało się tak wielostronną i ciągłą kwestyą bytu, że nie ma zjawiska, nie ma prawie najdrobniejszego objawu życia społecznego lub ekonomicznego, czy to w sferze prywatnej, czy publicznej, ażeby się nie zetknęło z tą siłą pięści. Dlatego w kronice niniejszej nie mmy prawie żadnej sprawy, o której mówiąc, moglibyśmy nie dostrzedz brutalnej dłoni, zaciśniętej nad nami. Ażeby się od niej odwrócić chociaż na chwilę, wejdźmy do Towarzystwa przyjaciół nauk. Na ostatniem posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego bibliotekarz księgozbioru kurnickiego, dr. Zygmunt Celichowski, opisał ciekawe odkrycie bibliograficzne, dotyczące najstarszych druków litewskich. Biblioteka ta posiada „Postylę" Seklucyana, drukowaną w Królewcu przez Angezdeckiego 1556 r. Przy oglądaniu egzemplarza p. C. dostrzegł w środku okładek stare druki. Odkleiwszy je, znalazł tam nieznany dotychczas druk litewski z r. 1549 (drugi co do czasu). Zawiera on przekład litewski z nutami pieśni kościelnej *Te Deum laudamus*, oraz dwie inne pieśni litewskie o zmartwychwstaniu Chrystusa. Prócz tego dr. C. znalazł w tej samej okładce *Te Deum laudamus* w tekście polskim z nutami, podobnie również z r. 1549.

Przed kilku tygodniami w Chełmie odbyło się doroczne walne zebranie zachodnio-pruskiego Towarzystwa pomocy naukowej, instytucyi polskiej, najstarszej w Prusach zachodnich. Przeznacza ona co rok 7,000 marek na wspieranie młodzieży uczącej się w gimnazyach i szkołach wyż-

---

Cichy, wilgotny, duszny wieczór podzwrotnikowy osiada na morzu. Gaśnie zachód, a jego ostatnie promienie igrają z małemi falami, które to się zapalą jaskrawym blaskiem, to zagasną.

Ostatni raz błysnęło złoto na powierzchni morza i utonęło w bezdnie; a z głębi wypłynęło srebro i wysokim, jasnym słupem zaświeciło w oceanie.

Zajaśniał księżyc.

Ani plusku fal, ani wiatru. Nastała majestatyczna głęboka przerwa.

Jaki akord ją przerwie?

XIX.

Noc podzwrotnikowa.

Ze wschodu posuwa się ciemna noc. Zachód jeszcze się pali światłem pamarańczowem.

Płyniemy po morzu opalowem.

Morze opalowe to goreje płomieniem czerwonym, to błyśnie ognikiem niebieskim.

Ani szelestu, ani plusku.

Ocean — jak tafla szklana.

Drżące światło ostatni raz przemknęło po przestworze niezmierzonym, jeszcze raz wybuchnęło blaskiem opalowym i zaginęło.

Zstąpiła duszna noc podzwrotnikowa.

Na ciemnem niebie zawisły gwiazdy brylantowe. Z za horyzontu wspaniale wysuwa się krzyż południowy, połyskując swoimi czterema dużymi brylantami.

Na zenicie pali się Jowisz.

Złoty Saturn jakby zawisł na maszcie i drży.

Nicią z dyamentów wije się i pełznie po niebie Skorpion, błyszczący żółto-czerwonym Antaresem.

Na północy świeci i skrzy się gwiazda polarna, a Trzej Królowie palą się brylantowym blaskiem na zachodzie; jak naszyjnikiem z wielkim rubinem, ozdobioni Oryonem.

Syryusz mieni się; to błyśnie blaskiem krwawym, to zapali się ogniem sinym, to złotem cały zaświeci.

To rubin, to szafir, to brylant złocisty.

Chyli się ku zachodowi największy z soliterów nieba, promienista Wenus. Zamierzając pogrążyć się w morze, z którego piany wyszła, wdzięczy się do ziemi. To schowa się za obłoki, to rzuci z za nich snop promieni. Z za chmur zdaje się wypłynie księżyc, a to nie księżyc, lecz ona, najpromienistsza z gwiazd nieba podzwrotnikowego.

— Patrzcie, jakam prześliczna — mówi jasna bogini miłości. I cały słup światła, jak księżycowego, pada na wodę, odbija jej blask.

Wygładzają się zmarszczki; ocean znowu jak lustro; co to?

Gdzie woda, a gdzie powietrze; gdzie niebo: u góry, czy u dołu?

Płyniemy śród gwiazd.

Meteor przeleciał po niebie i błysnął także w oceanie.

Dwa Jowisze patrzą na siebie: jeden z wyżyn nieba, drugi z głębin oceanu błyszczącego gwiazdami.

Gwiaździste morze, na którem wije się Skorpion, goreje Wielka Niedźwiedzica i płynie, paląc się słabym ognikiem, pasmo Włosów Weroniki.

Biała piana uderza o boki parowca, a w niej tu i owdzie błyśnie niebieskawy ognik. Tak iskry sypią się z krzemienia; jak ogromne latarnie elektryczne, paląc się w głębi światłem niebieskiem, przepływają sifonofory.

W powietrzu zupełna cisza, dokoła nic, prócz gwiazd na niebie i morzu.

Świat gwiaździsty...

To wstęp do Indyj.

* * *

Ranek.

Białe czajki, krążąc, unoszą się nad wodą.

Tu i owdzie, jak ptaki duże, ukazują się na oceanie żagle katamaran*).

Ląd blizko.

Słońce wznosi się coraz wyżej; ze złotego, połyskującego oceanu wyrasta las palmowy i góry sinawe w dali.

To Cejlon.

(C. d. n.).

*) Łodzie Singalezów.



szych. Fundusz ten powstaje ze składek od 300 przeszło członków tudzież z ofiar nadzwyczajnych i procentów od kilku zapisów. Na posiedzeniu narzekano, iż liczba członków prawie nie wzrasta. Te same zarzuty czyniły i pisma, wytykając instytucyi przestarzałe podstawy. Krytycy doradzają odrodzenie jego przez oparcie na ludzie.

Skoro mowa o Towarzystwach, nie możemy pominąć naukowego w Toruniu. Na walnem zebraniu poruszyło ono kwestyę otrząśnięcia się z martwoty. Ażeby dodać bodźca do życia, zmieniono siedem artykułów ustawy, z zamiarem wciągnięcia możliwie najszerszych kół inteligencyi miejskiej i wiejskiej, bez patentów naukowych. Chodzi więc o zdemokratyzowanie instytucyi dla jej dobra. Na zasadzie zmienionych przepisów wybrano zarząd nowy. Jest zatem nadzieja, a przynajmniej chociaż cień nadziei, że Towarzystwo dotąd zupełnie jałowe, odda z czasem jakie takie usługi społeczeństwu, o ile przed wzmocnieniem sił nie przyjdą inne uboczne środki usypiające.

Gęsi z Królestwa Polskiego wywołały specyalną naradę regencyi poznańskiej w obecności przedstawiciela pruskiego ministeryum rolnictwa. Postanowiono utworzyć stacye na granicy Królestwa w celu poddawania kwarantannie gęsi, przepędzanych do Prus. Stacye będą urządzone na głównych przejściach przez granicę; koszty zaś utrzymania i rewizyi weterynaryjnej mają być pokryte z opłat handlarzy. Warunek kwarantanny jest taki, że gdy po trzech dniach nie zjawi się u drobiu zaraza, wolno go przepędzić przez granicę. Kto jednak wie, czy ten warunek nie da powodów do nadużyć i czy granica dla gęsi w Królestwie nie będzie zamykana według widzi mi się interesowanych, jak była i jest zamykana dla nierogacizny. Wszakże rzeczoznawcami mają być weterynarze pruscy, narzędzie spekulantów i przedsiębiorców niemieckich.

et.

ROBOTY KOBIECE.

Paryż, 12 czerwca.

Tak zwany „feminizm" kroczy naprzód pomimo szykan i trudności, towarzyszących zawsze każdej nowej teoryi lub kierunkom sprzecznym z istniejącym stanem rzeczy. Święta rutyna nie przypuszcza, aby mogło być inaczej, niż bywało dotąd i bezwiednie trzyma się zdania filozofu niemieckiego, że to, co jest, jest albo dobrem, albo koniecznem. Ale sentencye nie rozwiązują kwestyj życiowych. Rzeczywistość ma swoje prawa, stawia swoje wymagania tak groźnie, że z niemi najpierwej rozprawić się trzeba. Do tej zaś rozprawy należy się przygotować badaniem całego szeregu zjawisk, przedewszystkiem zaś powodów i skutków samego faktu. Czy feminizm, to jest „rewandykacye" kobiece, są wyrazem istotnych potrzeb, czy wybrykiem chorych, chylących się do upadku społeczeństw — odpowie dopiero przyszłość; dziś można tylko poszukiwać przyczyn, śledzić bieg procesu, zbierać i rozbierać fakty — do wyroku daleko.

Jednym z takich, zasługujących na uwagę faktów, jest śmiały pomysł rodaczki naszej, p. Maryi Szeligi, utworzenia teatru kobiecego, gdzie będą grywane przedewszystkiem utwory niewieście; z męzkich zaś tylko te, które mają wspólność z dążeniem ruchu.

Projekt przechodzi w wykonanie i teatr, pod dyrekcyą p. Karola Léger (dyrektora teatru poetów) da pierwsze przedstawienie d. 15 czerwca r. b.

Otwarcie tego teatru jest rzeczą niepowszedniej doniosłości. Ułatwiając tak trudne dotąd przedstawienia utworów scenicznych kobiecych, da się zachętę do próbowania sił na tem polu i wywoła może prawdziwe talenty. Pomimo tego, co się mówi o niespożytości rzeczywistego uzdolnienia, doświadczenie przekonywa, że niesprzyjające okoliczności tamują wzrost pierwszorzędnych nawet sił, podobnie jak złe warunki hygieniczne podkopują najtęższe organizmy. Hygiena dla ducha jest równie niezbędną, jak dla ciała. Skutkiem braku odpowiednich warunków zmarnowały się prawdopodobnie całe zastępy jednostek uzdolnionych. Wiemy tylko o tych, które się wybiły na wierzch, nieraz dzięki tylko jakiemuś szczęśliwemu trafowi; ale kto zliczy te, które legły w walce cichej jako nieme szeregi? Kto powie, na jakim stopniu cywilizacyi stałaby dziś ludzkość, gdyby była zużytkowała wszystkie swe siły? Z drugiej znów strony teatr — w razie powodzenia — zapewnia we Francyi byt niezależny szczęśliwie obdarzonym. Tak więc pomysł p. Maryi Szeligi w dwojakim kierunku może odegrać rolę niepowszedniej wagi, a oprócz tego stać się sprawdzianem artystycznej twórczości kobiet. Wiele się mówi o ich nieudolności w tej mierze, ale wyrokom owym brak podstawy naukowej oraz dostatecznej ilości spostrzeżeń; wspomniany teatr może się stać — przynajmniej w kierunku artystycznym — pewnego rodzaju stacyą obserwacyjną.

Oprócz przedstawień scenicznych (dwa lub trzy razy miesięcznie) urządzane będą (kilka razy na miesiąc) wieczory, na których muzyka, śpiew, deklamacya, odczyty pozwolą kobietom objawić swe zasoby w tej dziedzinie. Do udziału zaproszone są wszystkie narodowości. Rękopisy można nadsyłać do dyrekcyi teatru: 6, Impasse du Midi (50 Avenue du Clichy) i, byle odpowiadały warunkom scenicznym i artystycznym, chętnie zostaną przyjęte. Na początek jednak usiłowaniami prywatnemi powstająca scena nic, prócz sławy, obiecać nie może.

W innym kierunku, lecz w tejże samej sprawie, rozpoczyna kroki panna Marya Chiron, ex-nauczycielka, propagująca potrzebę stowarzyszenia opieki nad nauczycielkami Francuzkami. Prefektura dała już swe zezwolenie, główna kwatera umieściła się przy Avenue de Route — Neuilly-Paris, a ruchliwa inicyatorka pozyskała głosy prasy i poparcie możnych.

Panna Chiron dwojaki cel sobie założyła: dać przytułek wraz z opieką nauczycielkom bez zajęcia, szukać posad odpowiednich ich kwalifikacyom i — walczyć ze współzawodnictwem obcem. Bez ceremonii oświadcza w paragrafie III statutów swoich, że „la Société a pour but d'assurer aide et protection aux institutrices françaises et d'enrayer *partous les moyens possibles la concurrence étrangère.*" Zakrawa to jednocześnie na instytucyę społeczno-filantropijną i na przedsiębiorstwo handlowe; może nawet tylko przedsiębiorstwo filantropijno-społecznym pokostem powleczone. P. Chiron temi słowy cel swój tłomaczy: „Cudzoziemki przybywają do nas; dlaczegożby Francuzki nie miały się udawać za granicę?.. (Chyba im tego zarzucać nie można). Podróże kształcą umysł i serce; pod tym względem Angielki i Niemki są praktyczne; któż broni Francuzkom je naśladować?.. Cudzoziemki zajmują w Paryżu i innych miejscach pierwszorzędne posady... od r. 1870 zapanowała moda sprowadzania to *Fräulein*, to *misses* rozmaitych, a Francuzki są usuwane zewsząd." Żeby temu zaradzić, nakłania do nauki języków obcych i twierdzi, że posiadłszy je, otrzymają pierwszeństwo przed cudzoziemkami, a wreszcie wzywa do solidarności, do popierania jej zamiarów przez małą dwufrankową składkę roczną i obiecuje, że „nous ferons une grande publicité qui nous ouvrira des débouchés sérieuse; mamy już takie *débouchés* w Hiszpanii, Portugalii, Rosyi i Anglii, postaramy się z czasem wyrobić ich więcej."

Tak więc grozi społeczeństwom, zahypnotyzowanym jak my przez Francyę, napływ wzmożony bakalarskiego towaru stamtąd. O powodzeniu Stowarzyszenia wątpić nie należy. Skoro prasa weźmie je w swoją opiekę, skoro wielkie imiona wpiszą się na firmę, to na ten lep arystokratyczny złapie się masa demokratów, popłyną datki i składki i praktyczny pomysł dojrzeje w praktycznej Francyi nad podziw szybko i pięknie.

My, którzy się tak zgodnie zapatrujemy z uwielbieniem na wszystko, co nam przybywa z Paryża, którzy tam szukamy wzorów we wszystkiem, powinnibyśmy sobie przypomnieć przy tej sposobności, że tego rodzaju instytucyę, tylko ze szlachetniejszym celem, posiadamy u siebie od przeszło dwudziestu lat (możemy więc zrobić coś samodzielnie), że wobec grożącej powodzi wychowawczyń francuskich należałoby pomyśleć o własnych pracownicach. Nie utrudniać im zarobkowania, pokąd siły służą, przez jakieś niewytłomaczono zaślepienie w cudzoziemczyznie, w akcencie paryskim, w chropawem wymawianiu litery *r* i zabezpieczać ich starość przez popieranie zakładu, stworzonego przez jedną z najszlachetniejszych kobiet, Agnieszkę Helwich, w którym już gromadka strudzonych nauczycielek znalazła wypoczynek na stare lata — ale gdzie, niestety, zbyt mało miejsca w stosunku do zapotrzebowań.

Margier.

DZIEJE ZABAWY.

III.

Usposobienie ducha zmieniło się. Niema prostoty, właściwej barbarzyńcom i wogóle pokoleniom, które przebywają wśród niezawikłanych stosunków ekonomicznych; niema także pogody umysłu, nieodłącznej od pewności dnia jutrzejszego; niema wreszcie świeżości uczuć i łaknień, porywów i instynktów, jaka towarzyszy wczesnym ubiegłych okresów rozwoju dziejowego. Wraz z „przecywilizowaniem" zmysłów, z nieustającą obawą o przyszłość, nurtującą bezwiednie pokłady mózgu naszego i ujawniającą się na zewnątrz przyćmieniem animuszu radosnego, z przytępieniem i nawet zagładą naiwności uczucia, zabawa przybrała odpowiedni charakter.

Stała się ona bezbarwną, „nudną"!

Wątpię, czy kiedykolwiek w ubiegłych wiekach idący na zabawę rozmyślali nad jej udaniem się, po powrocie zaś narzekali, że nudzili się tylko. Szli oni ufni, że spędzą czas przyjemnie. Nawet nie powstała im w głowie myśl filozofowania o czemś podobnem. Smutek mógł komuś zatruć chwilę wczasów, okoliczności przypadkowe odebrać wesołość, ale pobudki te nie mąciły uciechy powszechnej. Jak my, jadąc na wycieczkę pozamiejską, jesteśmy pewni, iż użyjemy czystego powietrza, tak samo nasi ojcowie nie wątpili, iż tylko ochoczość może panować na kuligu lub w tańcu. Dopiero epoka przecywilizowania stworzyła umiejętność nudzenia się podczas zabawy i ukrytego poziewania. Znaleźli się mędrcy, którzy usiłują dowieść, że takie usposobienie świadczy o wyższości umysłu pokoleń tegoczesnych. Potrzeby duchowe są dzisiaj tak wykształcone, iż natury delikatniejsze nie mogą zadowolić się pospolitością zabaw i ich nizkim polotem. Nie przeczę, że istnieją tacy wybredni. Są nerwy tak wy-

subtelnione — mówię o wysubtelnieniu zdrowem, bez rysów histerycznych, i nieudanem—są umysły tak zapatrzone w świat idei i sztuki, że zwykłe sposoby rozrywki nie zaspakajają ich pragnień. Jak oczka oliwy na wodzie, tak żyją oni i prawdopodobnie żyli dawniej po nad poziomem pospolitych uciech i widnokręgów. Ale tego rodzaju malkontentów nie trzeba mieszać z ciżbą zwyczajnych krytyków, którzy włóczą się po zabawach i obecni naigrawają się. Naturalnie jestem daleki od bronienia dzisiejszej rozrywki przeciw słusznym zarzutom czczości i jałowości: aż nazbyt często jest ona nużącai bezmyślna. Zaznaczam tylko fakty: istnieją tłumy filozofów, poszukujących gwaru, z góry przekonanych, że będą ziewali, i wśród tego miłego zajęcia rozprawiających o swojej rzekomej subtelności. Jaka przyczyna bardziej zaważyła na takim stanie rzeczy: zblazowanie mędrców lub jałowość naszych sposobów szukania odpoczynku, nie będę nad tem zastanawiał się. Sądzę, że obie strony dobrały się nawzajem. I przypomina mi się bajka o tem, jak robaki, stoczywszy drzewo, postanawiają przenieść się do innego, narzekając, iż nadeszły czasy bardzo ciężkie i nikczemne: nawet dęby spróchniały!..

Zaprawdę i „dęby spróchniały!" Bo trzeba przyznać, iż warunki rzeczowe, w jakich odbywa się obecnie zabawa, niezbyt sprzyjają rozmachowi ducha. Dawni Teutonowie nienawidzili grodów, bo uważali je za grób swobody i wolności. Czasy zmieniły się, bo całe parcie postępowe epoki nowożytnej zcśrodkowało się w murach miejskich: tam dojrzewają potęgi społeczne, które przyszłym pokoleniom torują drogę do lepszego jutra. Ale zanim to nastąpi, tj. zanim na widnokręgu dziejowym ukażą się wzory normalniejszego życia i stosunków rozumniejszych, są one jako zmora, dusząca w uściskach swoich generacyę dzisiejszą. Miasto nie sprzyja zabawie! Całe jestestwo nasze doznaje podniecenia, gdy opuścimy ciasne i smrodliwe ulice deptaka wielkomiejskiego i staniemy wśród pól i łąk, gdzie oko we wszystkich kierunkach ma wolny przestwór do napawania się widokiem przyrody. Pierś chwyta chciwiej i głębiej powietrze, ręka wypręża się żądna ćwiczenia, w całem ciele odczuwamy ożywienie, budzą się w nas uśpione emocye. Są tacy nawet, którzy pod działaniem przejrzystych widnokręgów, zapachu niw i lasów, czystości promieni słonecznych, niezmuszonych przedzierać się przez tuman kurzu, dochodzą do kompletnego upojenia. Opowiadają o dzieciakach, że po długiej niebytności na łonie przyrody wiejskiej wyją z radości i podniecenia, skoro znajdą się w obliczu niezabudowanej, zielonej macierzy-ziemi. Fakty te świadczą o ujemnym wpływie przebywania w atmosferze miejskiej, zatruwającej organizm miazmatami i pozbawiające go słońca: polot żywotności obniża się, usposobienie radosne tępieje...

W ciągu wieków ludzie żyli na otwartej przestrzeni, gdzie nie brakło im wolnych i czystych żywiołów. Tak samo bawili się oni — przepędzali wczasy swoje pod naturalnem sklepieniem, oddychając wszelkiemi tkankami ciała. Nawet w świecie klasycznym panował jeszcze ów zwyczaj odpoczywania na łonie natury. Amfiteatry starożytne, prócz nazwy, niczem nie przypominają klatek dzisiejszych, zwanych teatrami. Dopiero epoka nowoczesna, stworzywszy wielkie miasta, wepchnęła zabawę do salonów i saloników, do dusznej atmosfery, właściwej murom, dołączyła gorąco kinkietów, do kurzu ulicznego woń gazu i ciężkie parne powietrze, właściwe miejscom zamkniętym, w których zebrało się grono liczniejsze osób, wreszcie z nocy dzień zrobiła. Wszystkie warunki zabawy zdrowej, ochoczej odrzucono i znieważono, natomiast oparto odpoczynek i rozrywkę na podstawach najniegodziwszych.

Mieszkania nasze, zestawione z ogromem przestworów pod otwartem niebem, to tylko kurniki. Jak pierś nie może tam należycie oddychać — całą swoją szerokością, tak samo żywotności zbywa na należytym polocie. Indywidualizm ekonomiczny, ta mogiła istotnej odrębności ducha, uwięził zabawę w ścianach lokalu prywatnego i zamienił ją na klęskę dla gospodarzy, który oczekując gości nienadeszłych, modlą się już w duchu, ażeby ci wynieśli się jak najrychlej. Zamiast stołu gminnego, przy którym każdy jadł i pił, zastawiono przekąski skrupulatnie odważone i zwykle niedoważone i podcięto odrazu animusz zebranych — jak nie wierzę w rozkwit zabawy, odbywającej się w ciasnych pokojach, tak samo powątpiewam, ażeby udała się, gdy nie ma pod dostatkiem jadła i trunku. Ujemny wpływ indywidualizmu ujawnia się w każdym szczególe: nie tyle chęć rozrywki bywa tam pobudką zebrań, ile obowiązki położenia, konieczność systematycznej reklamy lub pewne wyrachowanie. Stare przysłowie głosiło, iż „gość w domu, Bóg w domu." My nie układamy takich maksym mądrości codziennej, ale gdybyśmy to robili, wypowiedzielibyśmy w nich zdanie zgoła odrębne. Istotnie, w gospodarstwie prywatnem doby obecnej gość nieproszony i w niestosownej porze przybywający gorszy jest, niż Tatarzyn, bo może sprowadzić zawikłanie w całym trybie życia. Wydostaliśmy się z położenia, wtłaczając zabawę w modły koszarowe, rozwielmożniające się w społeczeństwie z rozrostem wielkiej industryi. Wyznaczyliśmy stałe godziny: bawimy się według capstrzyka, tylko żeśmy tak do niego przyzwyczaili się i tak go zamaskowali, iż zapomnieliśmy, że jesteśmy jako rota żołnierzy... Każda epoka rozwoju dziejowego w każdej sferze stosunków społecznych stwarza pewne cudo, w którem streszcza całą filozofię swoją.

I zabawa nie stanowi wyjątku. Okres barbarzyństwa stworzył zbiorowe korowody na łonie przyrody, gwarne i hałaśliwe, spożywające jadła i trunku pod dostatkiem, lecz nieprzekraczające pewnej godziwej miary. Nikt tam nikogo nie krępował, bo zabawa nie odbywała się za środki osoby prywatnej, ani nie podlegała kaprysom jednostki: stoły zastawione dla wszystkich, każdy przybywał gdy chciał, nie krępowany innymi względami, prócz woli własnej.

Czasy rycerskie powołały do życia turnieje, na zamku i w dworku zrodziły huczne obchody i kuligi. Panuje tam już zbytek, przechodzący w nadużycie. „Jedz, pij i popuszczaj pasa!" Zabawa jest już zacieśniona, zjawia się nieznana w okresie poprzednim postać gospodarza. Ale ów ktoś, podejmujący bawiących się, jest ziemianinem, mieszkanie jego jest tylko chwilowem schronieniem dla współbiesiadników, którzy przebywają na świeżem powietrzu. Atmosfera, otaczająca grono hulające, jest zdrowa i normalna pod każdym względem, podnieca nerwy, ale nie wypręża ich w sztuczny, wyczerpujący sposób. Przeważają tam tany, gonitwy, obławy, tj. ćwiczenie mięśni, przeplata je gwar przy stole suto zastawionym i obfite zdrowia! Wreszcie nastaje cywilizacya nowoczesna, która punkt ciężkości społecznej przenosi do miast. Zamyka ona rozrywkę w prywatnem mieszkanku, pozbawia akcesoryów, poddaje rygorowi koszarowemu. Powstają *five o'clocki* i rauty, na które trzeba przychodzić sytym i gdzie ze wszystkich mięśni tylko językowi pozostawiono zupełną swobodę. Członkom zabrakło przestworu, tylko na paplanie nie nałożono wędzów. I gdy dano wolność tej czcigodnej umiejętności, język pokazał wszelkie przymioty swoje: wielkie idee zaczęto tam traktować jako strawę lekkoduchów i sowizdrzałów, wielkich ludzi zaś, jako posiadaczy brudnej bielizny. Nastąpiły czasy panowania filozofujących blagierów, którzy winni przygotować papkę naukową i artystyczną dla zgrai świergocącej.

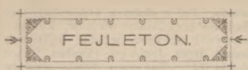
* * *

Rzeka płynie korytem wązkiem a głębokiem, to znowu rozlewa się szeroko, lecz płytko. Podobnież w ciągu wieków zmienia się charakter zabawy: animusz tryska całą pełnią, to znowu opada, ażeby ustąpić miejsca zniechęceniu i ospałości, rozrywki bywają zbiorowo i gwarne, odznaczają się wszechstronnością i naturalnością lub zostają zacieśnione, znikczemnione samolubstwem, zatrute sztuczną atmosferą. Jakimi są warunki bytu materyalne i jaką bywa więź społeczna, taką jest zabawa: związana spójnie i organicznie z całością życia, odbija w sobie zmiany, jakie zaszły w usposobieniu ludzi. I w pasmie ogniw kolejnych dzień dzisiejszy dodał nowe, stanowczo niższe od poprzednich. Indywidualizm mieszczański zwyrodnił nasze wczasy, tak samo jak wykoszlawił charaktery i znikczemnił ducha.

Nasz rozbiór nie był kompletny. Pewną stronę życia badaliśmy z punktu bardzo ciasnego, bo uwzględniliśmy tylko zabawę warstw zamożniejszych—tych, wśród których wypada nam się obracać. Ale inteligencya, chociaż rości prawa do nazwy mózgu społecznego i uważa siebie za arystokracyę ducha, nie ma w sobie pierwiastków przyszłości, ani nie jest dźwignią dziejową teraźniejszości. Jest poprostu śmietniskiem odpadków—w najlepszym razie. Tam, w nizinach społecznych, istnieją warstwy, uginające się pod ciężarem pracy, ale niezłajdaczone nerwowo i nieprzecywilizowane. Wepchnięte w ciasne izdebki i komórki, z konieczności bawią się po za domem, tj. rozrywce przywracają charakter publiczny i odrzucają rygor koszarowy. Zabawa, wolna od capstrzyków, nieskrępowana konwenansami i rachubami, niezabarwiona potrzebą reklamy, pozbywa się nieodłącznego swego towarzysza—nudów. Jest może mało artystyczną, ale bądź co bądź, życie w niej tryska. I braknie jej tylko przestworów przyrody, i niema tam dostatku i zbywa czasu. Ale są tam pierwiastki zdrowia! Miejmy nadzieję, że dalszy rozwój dziejowy, zamiast zasady indywidualnej, opierając więź społeczną na innej, szerszej, zamiast walki wzajemnej o zarobek urzeczywistniając solidarność zapasów z przyrodą, wskrzesi i to zanikłe akcesorya, towarzyszące zabawom barbarzyńców.

Ale przyszłość nie będzie przeszłością. Środki komunikacyjne powiązały glob ziemski w jeden zwarty organizm i umożliwiają prędki transport. Świadome regulowanie produkcyi dóbr materyalnych i rozwój potęg wytwórczych wraz z doskonaleniem techniki przewozowej wskrzeszą na podłożu cywilizacyi koczowniczy tryb życia. Mogą powstać wzory, o jakich nie śniło się filistrom fantazyi. Marzenia Amerykanów, ażeby w Parku Narodowym urządzać paromiesięczne zjazdy młodzieży szkolnej z całych Stanów Zjednoczonych, dają pewne pojęcie, jakie osobliwe nowotwory może ukazać się z czasem. Obóz-uniwersytet w Chatauqua dostarczyłby dalszych pierwiastków duchowych dla obrazu przyszłości. Ale obawiamy się wkroczyć na niebezpieczną drogę rojeń — życie rozwija się tak potężnie, wyłania takie żywioły, że zawsze można narazić się na zarzut mierzenia olbrzyma skalą karłów.

L. Krzywicki.



PAMIĘTNIK.

Wystawa zbytku.

Po długich namysłach, zwłokach, wykrętach, zmordowany przez prasę i ziemian totalizator urządził nareszcie w Warszawie wystawę inwentarza. Kto chce zrozumieć nasze stosunki ekonomiczne, powinien zawsze pamiętać o tem, że u nas zbytek jest przedmiotem najzabiegliwszych starań, a praca, zaspakajająca zwykłe potrzeby ogółu, doznaje najwyższego lekceważenia i zaniedbania. Dlatego mamy dwa razy rocznie parotygodniowe wyścigi koni angielskich, które stanowią rodzaj kart w ręku bogaczów, bawiących się w grę hazardowną, a przez lat kilkanaście nie mieliśmy wystawy inwentarza. Ale i ta wystawa nosi na sobie wszystkie cechy zbytku. Znajdziemy na niej konie arabskie, angielskie, trakeńskie, perszerony— w cenie od 400 do 1.000 rs., ale nie znajdziemy tych koni zwyczajnych, włościańskich i dworskich, po 80—100 rs., które orzą ziemię, zwożą zboże, pracują na nasz chleb codzienny, a których kraj posiada setki tysięcy. Możemy również obejrzeć bydło holenderskie, meklemburskie, szwentalskie, ale nie widzimy tych zwyczajnych krów, które karmią mlekiem prawie całą ludność kraju. Pokazano nam kury indyjskie, chińskie, angielskie, ale nie przedstawiono ani jednej z tych zwyczajnych kokosz, którym zawdzięczamy całą olbrzymią gałąź produkcyi w postaci milionów jaj i kurcząt. Niektórzy hodowcy poprostu przywieźli okazy nabyte za granicą. Oceniamy należycie korzyść z wprowadzania i poznania ras obcych, mających przymioty pożądane w naszych warunkach klimatycznych i gospodarskich; ale czego nauczyć może i jaką przedstawia wartość wystawa samych zbytkownych, gdzieindziej wytworzonych modelów? Nie wdając się w rozległe wywody szczegółowe, wyjaśnimy rzecz przykładem. Nie ulega wątpliwości, że jednem z najpożyteczniejszych zwierząt naszego inwentarza jest pospolita kura polska. Wytrzymała na klimat, niewybredna w jedzeniu, nieśna, płodna. Ulepszyć tę rasę przez staranny dobór i rozumną hodowlę byłoby jednem z najważniejszych i najwdzięczniejszych zadań gospodarki. Nadto dodać trzeba, że kura ta, a zwłaszcza kogut jest wspaniałym ptakiem i z pewnością gdyby ojczyzną jego był Meksyk lub Transwaal, sprowadzonoby go do Europy skwapliwie, a my nabywalibyśmy za drogie pieniądze. Tymczasem co myśmy zrobili przez wieki z naszych kur? To, co one same zrobiły z siebie bez naszej pomocy: niosły jaja, wysiadywały takie, jakie im podłożono — i koniec. Wyobraźmy zaś sobie, jakby one dziś wyglądały, gdybyśmy tylko przez 200 lub 100 lat dobierali do rozpłodu osobniki najlepsze! Straconego czasu już nam nikt nie wróci, ale niechżeby przynajmniej ktoś z zakresu życia jednostkowego przedstawił nam, jakie okazy wyhodował przez dobór w ciągu kilkunastu pokoleń! Najmniejszej próby tego rodzaju na wystawie nie widzimy. Weźmy drugi przykład. Przed kilku laty ktoś ogłaszał we wszystkich pismach, że poszukuje naszych zwyczajnych owiec poprawnego gatunku, t. z. „świniarek." Prawdopodobnie nie dostał ich, bo my nigdy nie podjęliśmy pracy udoskonalenia tych zwierząt, które posiadają przedewszystkiem tę wielką zaletę, że są przystosowane do naszego klimatu i naszych pastwisk. Ani jednej tego rodzaju owcy nie ma na wystawie.

Nie będziemy wykazywali innych podobnych braków, gdyż musielibyśmy przejść kolejno wszystkie działy inwentarza. Każdy z nich bowiem zawiera wyłącznie rasy obce i zbytkowne.

Słusznie zauważono dawniej, że wystawy inwentarza powinny być u nas połączone z jarmarkiem, ze sprzedażą okazów, potrzebnych dla celów hodowli. Rzeczywiście sprzedaż taka odbywa się, ale w ograniczonym zakresie potrzeb zbytku. Bo cóż właściciel kilkunastu lub kilkudziesięciu włók, dzierżawca, kolonista, nie mówiąc o chłopach, co chudopachołek lub gospodarz średniej zamożności ma kupić na wystawie, gdzie za konia musiałby zapłacić 500 rs., za jałówkę 100, za bubajka 300, za parę kur 40 rs.? To są sprawunki nie dla jego kieszeni. A przecież kraj nie składa się z samych wielkich panów, a jego produkcya nie spoczywa w rękach właścicieli stajni i obór „zarodowych."

Na obronę wszakże bezczynności ogółu ziemian w kierunku poprawy ras swojskich trzeba przyznać, że oni istotnie znikąd nie doznają zachęty. Jeżeli w kraju rolniczym, w kraju, zatrudniającym i wytwarzającym ogromne masy zwierząt roboczych i użytkowych, wystawa inwentarza odbywa się raz na kilkanaście lat, jeżeli tę wystawę urządza Towarzystwo, któremu chodzi o hodowlę koni zbytkowych, wielkopańską zabawę na wyścigach i wyzyskiwanie namiętności tłumu do gry za pomocą totalizatora, a nie chodzi mu wcale o żaden inwentarz, to naturalnie gdzież gospodarz, który chciałby przedstawić wyniki swoich doświadczeń i zabiegów na drodze poprawy ras krajowych, znajduje pobudkę do pracy i sposobność do okazania jej owoców? A gdyby nawet miał, czy postawi dobrego konia fornalskiego i zwyczajną owcę obok folblutów angielskich, które dumnie rozpierają się we wszystkich zagrodach i klatkach? Dla ścisłości wspomnieć winniśmy, że pp. Górski i Popiel okazali mieszańce, a nawet zostali nagrodzeni „uznaniem za usiłowanie wytworzenia ras krajowych," że paru zamożnych włościan przyprowadziło konie rosłe, które udało im się wychować po ogierach rasowych z klaczy swojskich, ale są to próby i unikaty, które nie stanowią jeszcze żadnej cyfry ekonomicznej.

Rzucamy tu jedynie kilka uwag krytycznych, które nastręczają się natychmiast po powierzchownem obejrzeniu wystawy. Powrócimy jeszcze do związanych z nią zagadnień i spraw ekonomicznych.

Dziwna obrona.

Gazeta Polska wystąpiła z dość dziwną obroną pomysłu zaniechania konkursu na pomnik Mickiewicza i powołania do tej pracy p. Godebskiego. Ta droga wydaje się jej najwłaściwszą, gdyż za nią przemawiają: obawa różnicy zdań w gronie sędziów i zwłoki, smutne doświadczenia konkursu krakowskiego, wreszcie dowody talentu p. G. w podobnych przedsięwzięciach, który już stworzył kilka wielkich pomników. Nie przesądzamy rzeczy, być może — a najszczerzej tego pragniemy — że ów artysta wywiąże się ze swego wielkiego i trudnego zadania należycie; argumenty wszakże *Gazety* nie mają żadnej przekonywającej siły. Bo naprzód co to za szczególny sposób zapobiegania różnicy zdań między sędziami przez wybór jednego rzeźbiarza! Przecież może również zdarzyć się, że jego projekt również nie zyska ogólnej zgody. Czyżby przyjęto za zasadę, że cokolwiek on zrobi, będzie uznane bezwzględnie za dobre? Powtóre, powtarzamy twierdzenie nasze, poprzednio wyrażone, że piękny, okazały pomnik nie da się wykonać szybko, a nigdy w ciągu roku. Potrzecie, doświadczenie krakowskie dowiodło nie szkodliwości konkursów wogóle, ale bezprzykładnego niedołęstwa i niedbalstwa komitetu. Natomiast doświadczenie wszystkich narodów wykazało, że tylko drogą konkursu powstały najwspanialsze pomniki. Poczwarte, p. G. stworzył kilka ładnych, nadewszystko eleganckich pomników, ale o żadnym „wielkim pomniku" jego dłuta nie słyszeliśmy.

Według nas, jeżeli nie należy utrudniać komitetowi pracy w uczczeniu poety, to również nie należy być obojętnymi świadkami sprawy, która ma dla nas bardzo doniosłe znaczenie. Trzeba dołożyć wszystkich sił i starań, ażeby pomnik dla Mickiewicza był godnym największego naszego poety i tych ofiar, jakie naród na ołtarzu czci dla niego złoży. Ani my sobie, ani potomni nam nie przebaczyliby zmarnowania sposobności, zapału i środków. Te względy powinny każdemu—póki jeszcze czas — dyktować słowa dbałości o sprawę ważną.

Instytut głuchoniemych i ociemniałych.

Dziwne wrażenie robi ta młodzież, popisująca się przed publicznością zaproszoną przy zamknięciu roku szkolnego, rozdaniu nagród i patentów. Gromadka przyszłych „obywateli kraju," która miała być ciężarem społeczeństwa, miała zwiększyć szeregi ludzi nieprodukcyjnych, wykazuje rozwój swego umysłu w takich granicach, do jakich pedagogia mogła doprowadzić; wykazuje znajomość różnych gałęzi pracy, która może zapewnić jakie takie istnienie materyalne. Ich popis jest zarazem świadectwem nieocenionej cierpliwości i wytrwałości pedagogów. Wykluczonym ze świata, z którego w pełni mogą korzystać ludzie, rozporządzający wszystkimi zmysłami, dać możność wprowadzenia tego świata do sfery duchowej, ciemnym, pozbawionym dokładnego pojęcia o kształtach i barwach, wprowadzić do duszy świat w przybliżeniu podobny do rzeczywistego, więc uczynić życie względnie znośnem, ludziom, dla których piękne i bogate dziedziny wdzierające się do mózgu przez słuch, są zupełnie zamknięte, dać możność korzystania z tego, co tylko za pośrednictwem słuchu się zdobywa, to zadanie tak wielkie i szczytne, że niepodobna z niem się oswoić, pomimo istnienia u nas Instytutu od lat wielu. I rzecz dziwna, ten zakład, mający doniosłe znaczenie moralne i materyalne dla naszego społeczeństwa, nie cieszy się takiem uznaniem i poparciem ogółu, na jakie zasługuje. Musi on odrzucać mnóstwo próśb kandydatów z braku środków na stypendya. Nadto wychowańcy tego zakładu po otrzymaniu patentów nie mają dostatecznej opieki i pomocy społeczeństwa. Ciekawi podziwiają w gmachu Instytutu piękne wyroby rzemieślnicze, wykonane nawet z dość znacznem poczuciem artyzmu, słuchają śpiewu i muzyki ślepców, ale nie interesują się tem, jaki ich los spotka po skończeniu mozolnej nauki. Ślepcy zarobkują po nocach jako grajkowie w knajpach, a nawet lupanarach i tylko całe ich szczęście, że nie widzą tego wytworu urządzeń dzisiejszych, że nie mogą dostrzedz i zmysłem odczuć tej dziedziny mętów, w które wtrąciła ich potrzeba podtrzymywania istnienia. Szkoda, że nikt dotąd nie pomyślał, ażeby z tych ludzi nieszczęśliwych stworzyć chóry i orkiestry, dać im możność zarobkowania bez poniewierki moralnej i materyalnej. Szkoda, że nikt nie zajął się stworzeniem pośrednictwa w wyszukiwaniu pracy dla wychowańców Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, że nikt nie zorganizował dla nich warsztatów pracy i rynków zbytu wyrobów. Zadanie społeczeństwa nie powinno się kończyć na wychowaniu tych

ludzi upośledzonych przez naturę. Trzeba im jeszcze ułatwić pracę i możność istnienia.

Kurs gimnazyalny.

Okres egzaminów, tj. chwila, w której na jaw wypływają wszelkie wady systemu pedagogicznego, zwykle daje powód do rozmyślań, krytyki, a nawet pewnych zarządzeń. Obecnie podobno ministeryum oświaty jest zajęte sprawą ułatwienia kursu gimnazyalnego. Jakie będą wprowadzone sposoby i środki tego ułatwienia, dotąd nie wiemy. *Peterb. Wied.* podsuwają następujące: Należy zmienić wykład oraz doprowadzić podręczniki szkolne do ilości tylko niezbędnej dla dokładnego przyswojenia przedmiotu przez większość uczniów, z uwzględnieniem i tych, którzy posiadają zdolności średnie. Nadto, kurs nauk powinien być opracowany w ten sposób, aby uczeń miał dosyć czasu na przygotowanie umysłu do rozwoju i myślenia samodzielnego. Powinien on także mieć czas i do ćwiczeń fizycznych. Wnioskodawca wytyka bezcelowość przyjętego przez pedagogię systemu rozpoczynania nauki języka, bodaj nawet ojczystego, od gramatyki i jej prawideł zawiłych. „Korzystniej jest przechodzić gramatykę już wówczas, gdy umysł dojdzie do pewnego rozwoju, gdy zdolnym jest do pojmowania myśli abstrakcyjnych, a gramatyka nie wydaje mu się sumą formuł suchych i trudnych, których pomimo usiłowań przyswoić sobie nie może. Każdy wie z własnego doświadczenia, jak szybko ulatniają się z pamięci szczegóły o podstawach teoretycznych każdego języka.“ Z tego względu im później rozpocznie się nauka gramatyki, tem lepiej i korzystniej dla ucznia. Na tych „dezideratach“ nie powinno wszakże się kończyć ułatwianie kursów gimnazyalnych. Należałoby zmienić cały system egzaminów tudzież wiele podręczników niewłaściwych, zagważdżających głowy. Trzeba byłoby wreszcie zwrócić baczną uwagę i na siły pedagogiczne, postarać się o to, ażeby nauczyciel nie był urzędnikiem, lecz doradcą i przyjacielem młodzieży.

„Co kraj, to obyczaj.“

Niedawno w pewnej czytelni naszej przeglądałem miesięcznik: w jednym brakowało szesnastu kartek; w drugim dwudziestu kilku, w trzecim aż dwu artykułów. Zapytywałem sekretarza; odpowiedział mi, że to nic nadzwyczajnego i że od początku istnienia instytucyi co parę tygodni i miesięcy spostrzega tę samą systematyczną *kradzież*. W czytelniach naukowych nie bywają pozostający pod dozorem policyi „rewizorzy cudzych kieszeni,“ i wątpię, aby który z mieszkańców pewnego pięknego domu przy ulicy Długiej był w możności i znajdował przyjemność „zjadania“ doszczętnego artykułów z *Revue philosophique.* Przypuścić nawet należy wobec form architektonicznych oświaty naszej, że ci przywłaszczyciele cudzej własności rekrutują się z klas społecznych, które jako obowiązujące dla siebie uznają bardzo daleko sięgające reguły moralne. A jednak?... Dla przykładu przyjrzyjmy się stosunkom angielskim. Istnieją tam wieloliczne biblioteki ludowe, przeznaczone przedewszystkiem dla robotników i rzemieślników, dla ludzi, którzy rzadko kiedy sięgają wiedzą po za granice szkoły elementarnej, którzy nie znają pięknie wychowanych frazesów, ani nie odbywają nowicyatu u kapłanów „dobrego tonu.“ Prawodawca angielski nie dowierzał snadź tym, dla których bile biblioteczne w parlamencie uchwalał, bo wprowadził, niezależnie od kar ogólnych, specyalną jeszcze 6-miesięczną karę więzienia dla tych, którzy w jakikolwiek sposób uszkodzą przedmioty, należące do inwentarza biblioteki (*p. 24 i 25 Vict. c. 97*). A jednak omylił się, bo wypadki takie zdarzają się niezmiernie rzadko. W jednej z bibliotek londyńskich (ludowych), w której już oddawna zniesiono kontrolę specyalnego urzędnika i gdzie każdy ma prawo sam brać z półek książki, jakich mu potrzeba, w przeciągu *12 lat zaginęły 3 tomy*. W bibliotece pod wezwaniem Św. Jerzego na 100 tys. wypożyczonych książek zginęło bezpowrotnie 9, a w Manchesterze na 2 miliony tomów okazał się brak — 15. Są to cyfry bardzo charakterystyczne, a dla nas podwójnie ciekawe.

LITERATURA I SZTUKA.

POETA I ŚWIAT.

Być może, iż nastał już czas naukowego zrehabilitowania wszystkich krzyków i jęków, wydawanych przez geniuszów, poetów i artystów na tym świecie, który jest dla nich padołem płaczu. Nam, zadowolonym z równowagi społecznej, gdyż ona jest zastosowana do naszej natury i naszych potrzeb, wydaje się nieraz, iż krzyki tych tytanów są zwykłą kokieteryą, albo, gorzej jeszcze, chęcią zwrócenia na siebie uwagi: wszak zależy tylko od nich, aby byli podobnymi do nas i wówczas działoby się im dobrze. Otóż, niestety, doświadczenie wiekowe pokazuje, iż geniusz znajduje się wciąż na jednym z dwóch biegunów krańcowych: anti-społeczności lub chorobliwości i napróżno od setek tysięcy lat starano się utrzymać go na ogólnym, powszechnym dla wszystkich poziomie. Trzeba być bardzo naiwnym, aby przypuszczać, że to rzecz przypadku lub złej woli: są tu głębokie różnice rasowe, które w żaden sposób wyrównać się nie mogą. Tak drzewo, rzucone na jezioro, zawsze wystawać będzie nad wodę i nigdy nie przyjmie ogólnego z nią poziomu, chyba gdy zgnije. Społeczeństwo powiada do geniuszów: bądźcie takimi, jak my jesteśmy, albo nie bądźcie. Jeżeli pod tą prośbą zgadzają się stanąć na ogólnym poziomie, wówczas — o dziwo—mamy cały szereg nowych a niespodzianych objawów, pesymizm lub altruizm bezgraniczny, tj. instynkty w nich gorzkną albo się prześladzają, a choroba cukrowa jest nie mniej zjawiskiem patologicznem, niż choroba żółci. I można znowu zapytać: czy rezultaty w ten sposób zdobyte są bardziej pożądane, niż zło, któremu chciano zapobiedz? Taki np. Nordau — zwykły zresztą frazesiarz — uważa za zwyrodniałych nietylko geniuszów, ale także całą Europę, która ich czytuje i uwielbia. Otóż krytyk ten zapewnia, iż każde społeczeństwo jest *stadem* i że niema w przyrodzie całej stada, któreby żyło bez wodzów. A nigdzie ta potrzeba wodzów nie jest tak potężna, jak w ludzkości. Spowiednicy mogą być uważani za zegarmistrzów psychologicznych, którzy nakręcają od czasu do czasu mechanizmy duchowe i baczą, aby one szły w porządku. W daleko większym jeszcze stopniu powiedzieć to można o geniuszach, którzy są przewodnikami nie jednej jakiejś części ludności, ale wszystkich dusz wogóle. Wyrzućcie z naszych mózgów twory uczonych, poetów, artystów — co pozostanie? Nic prawie, coś w rodzaju owej *tabula rasa* psychologów. Geniusze nadają treść, formę i kierunek naszym duszom — bez nich nawet pomyślani być nie możemy, wprost dlatego, że stado pomyślane być nie może bez wodzów. Jeżeli więc psychika tych wodzów będzie zatruta, schorowana, cierpią na tem nietylko oni, ale także stado. Już w czasach pierwotnych stada ludzkie uwielbiały wodzów, którzy pochwycili nad niemi władzę, bądź praktycznie, bądź duchowo (kapłan, znachor, poeta itd.). Toż samo dzieje się dotychczas. Tylko że tam i wodzowie i stada były zdrowe, dziś wodzowie są schorowani, wynędzniali i to się odzywa na stanie samego stada. To zasadnicze stosunki panowania i uwielbiania opierają się na instynktach tak żywotnych i tak niezbędnych, iż dotychczas przetrwały prawie bez zmiany. Stado buntuje się przeciw swym wodzom, ale bez nich, jak bez powietrza, obejść się nie może. I dlatego rzecz, pozostając w zasadzie niezmienną, komplikuje się tylko obopólną maskaradą. Z jednej strony stado ukrywa się ze swem uwielbieniem, wmawiając w siebie, iż samo utworzyło wszystkie impulsy, które otrzymuje od geniuszów, ci ostatni zaś, w obawie o swą władzę, jeszcze bardziej ukrywać się muszą z panowaniem, które istotnie wywierają. To też bardzo często mamy obecnie komedyę wodzów, wywierających wpływ nieograniczony na tłumy i zapewniających te tłumy, iż są tylko najbardziej uniżonymi ich sługami — niczem więcej. Przypomina to Shakespeare'owskiego Cezara, któremu pochlebca mówi: „O ty, który nie lubisz pochlebstwa,“ a Cezar uśmiecha się z zadowoleniem.

Rzecz komplikuje się jeszcze bardziej podziałem społeczeństwa na klasy ekonomiczne. Otóż klasa wyższa, rekrutująca się na zasadzie bogactwa, składa się po największej części ze zwykłego motłochu umysłowego; są to osły obładowane złotem. Dość spojrzeć na uniwersytety Europy zachodniej, obsadzone przez tę klasę, aby się o tem przekonać. Panuje tam nieograniczone ubóstwo myśli i lokajstwo duchowe, o jakiem trudno nawet w przybliżeniu wytworzyć sobie pojęcie. Wszystko to sprawia, iż istotni panowie Europy, królowie myśli znajdują się po za społeczeństwem, często w najgorszych warunkach bytu i wywierają swą władzę w sposób ukryty, niepostrzeżony, ale niewątpliwy. Dobry psycholog może się podjąć zdysekować każdą duszę, którą mu podacie i wykazać, co w niej należy do Darwina, co do Marxa, co do Nietzschego, co do Wagnera itp. geniuszów, którzy nadają ogólne tło duchowe, co do geniuszów i talentów krajów poszczególnych i nie znalazłby po za tem nic lub prawie nic.

Otóż ci władcy duchowi społeczeństwa są zwykle samotnikami, znajdującymi się po za społeczeństwem i to ma dobrą swą stronę, gdyż kto mówi „wódz“ (formalnie uznany), ten mówi „przystosowanie.“ Historya literatury wykazuje nam, iż okres twórczości geniuszów kończy się z chwilą, gdy oni godzą się ze społeczeństwem i wchodzą w nie, chociażby w charakterze wodzów. Doświadczenie codzienne przekonywa, iż talenty, nieraz znaczne, jałowieją zwykle w pogoni za powodzeniem i gdy je zdobywają. Rozumie się, zabija ich zwykle nie powodzenie, lecz *przystosowanie*, które jest jego warunkiem. Otóż twórczość jakimś tajemniczym fatalizmem, ciążącym nad geniuszem, wymaga samotności królewskiej, która zostawia ducha zupełnie niezależnym. Społeczne pożycie czyni geniusza bojaźliwym zającem, który, nawet śpiąc gdzieś w ukryciu pod krzakiem, nadstawia uszu i czuwa, przewidując zewsząd niebezpieczeństwa. Tymczasem o lwie podróżnicy opowiadają, iż można go zastać często śpiącym na samem słońcu i chrapiącym tak potężnie i tak bezpiecznie, iż pustynia drży naokoło. Nieubłagane prawa dziedziczności sprawiają, iż geniusz czuje się sobą i bezpiecznym, tylko gdy jest samotny. Natura pracowała setki tysięcy lat, aby jego ducha uczynić właśnie takim i my na to

nic nie pomożemy naszemi radami, kiwaniem głową lub pobożnemi życzeniami.

Otóż społeczeństwo takich samotników, żyjących według praw własnej swej natury, znieść nie może i wywiera wszystkie wpływy naturalnego i moralnego ciśnienia, aby ich uczynić podobnymi do siebie. Ale, niestety, prawa mechaniki moralnej są także nieubłagane, jak i prawa mechaniki fizycznej. Dwa ciała różnej gęstości nie mogą stanąć na równym poziomie, sosna zwyradnia się w cieplarni, a pomarańcza na wolnem powietrzu, w naszym klimacie. Kultura moralno-społeczna albo unicestwa zupełnie geniusz, czyniąc go bezpłodnym, albo też wywołuje w nim stany chorobliwe. Społeczeństwo nie wymaga odeń żadnych bohaterstw, tylko zwykłych średnich instynktów moralnego obywatela. Otóż te średnie wymagania, dla innych normalne, wywracają całą jego równowagę wewnętrzną i rzucają go w krańcowości dekadencyi lub mistyki. On nie będzie zwykłą normalną jednostką, lecz natychmiast się stanie jakimś cudotwórcą, zbawcą ludzkości, stworzy religię „cierpienia ludzkiego," jak Dostojewski, ubóstwiania głupich i słabych, jak Tołstoj — jednem słowem skoczy po nad poziom moralny akurat na taką samą wysokość, jak poprzednio znajdował się pod tym poziomem. I zresztą uważna analiza wykazuje zawsze w tych nowotworach chorobliwych dobrze zamaskowany egoizm drapieżnego samotnika. Ta miłość chorobliwa geniuszów jest często bardzo podejrzana— przypomina raczej zemstę, niż co innego. Oto np. jeden z nich, nabroiwszy przez młodość i wiek dojrzały, zaczyna na starość prawić o wyrzeczeniu się siebie i miłości cierpiących. W licznych swych „Spowiedziach," w sposób bardzo przezroczysty pokazuje nawet, jak doszedł do tej filozofii. Jest stary, skóra się kurczy, włosy siwieją, zęby wypadają — o użyciu mowy już więcej być nie może. A więc w oczekiwaniu tego nieuchronnego końca — wyrzeknijmy się, a nie spotka nas potem żaden zawód. Kazanie to byłoby skutecznem, gdyby autor sam dał w młodości przykład wyrzeczenia, a tak jest to jakby zwykła zazdrość i zawiść niemocy. Jego zaś namiętne napaści na miłość realną, przypominają te stada pierwotne, gdzie samiec przestarzały wypędzał młodzież męzką. Dziś tak doraźne postępowanie byłoby już niemożliwe, więc nie mogąc odpędzić młodych od użycia, trzeba je im przynajmniej obrzydzić i zatruć. A ta miłość małych i drobnych czyż nie jest zazdrością słabości i tchórzowstwa, które nie mogąc lub nie śmiąc podążyć za silnymi, mści się stawiając im przeszkody? Miłość ku słabym jest często u geniuszów „un amour par dépit," dobrze zamaskowanym, nieświadomym egoizmem pierwotnym. To bynajmniej zresztą nie zmienia jej społecznej wartości: tak mydło, z czegokolwiek jest zrobione, stanowi wytwór dobry i zbawionny.

Właściwy więc stosunek pomiędzy poetą a światem, czyli pomiędzy geniuszem a społeczeństwem jest następujący. Społeczeństwo nie może znieść w swem łonie geniusza, gdy on posiada swe naturalne instynkty: ono go ściga, wyszczuwa i tępi. Dlatego też cała literatura rozlega się jednym wielkim, rozdzierającym krzykiem ściganych i mordowanych zwierząt. Krzyk ten wydawali nietylko gwałtownicy, jak Byron lub Słowacki, ale ludzie stosunkowo łagodni, jak Kraszewski lub Puszkin. Cała literatura jest to długa martyrologia systematycznego i powolnego wytępiania pewnych gatunków antropologicznych. Te nieszczęsne ofiary głębokich fatalizmów społeczno-przyrodzonych zwykle nie rozumiały przyczyn własnej ich męczarni i tylko zanosiły się od płaczu, brocząc we własnej swej krwi. My zaś nie wiedząc, iż chodzi tu o cichą rzeź powolnie katowanych zwierząt, przyjmowaliśmy ich jęki za zwykły romantyzm i kokieteryę, na którą nie warto zwracać uwagi. Otóż nie — mamy tu największą i najboleśniejszą z rzeczywistości. Geniusz krzyczy, bo świat dławi go i dusi. Gdy czytamy dzieła Danta, Tassa, Shakespeare'a, Marlowe'a, Goethego (Faust), Heinego, Mickiewicza, Lenana, Lermontowa i wszystkich wogóle poetów, znajdujemy się wobec widowiska, które swą zgrozą i okrucieństwem nie ustępuje bynajmniej świecznikom Nerona i świętym stosom Inkwizycyi. Jest to także melancholia lasu, który się rozlega jękami trzebionych drzew. I w tym realizmie cierpienia zawiera się źródło czaru, który wielcy poeci na nas wywierają. My zwykle jesteśmy wzruszeni, gdy słyszymy płacz dziecka lub człowieka katowanego. To realizm krzyków, rozlegających się w literaturze tak przejmująco na nas działa. To nie retoryka, lecz tragedya.

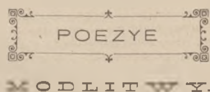
Świat gotów jest znosić geniusza, gdy on się poddaje jego prawom — to jednak wywołuje w nim cały szereg nowych a niespodzianych zboczeń chorobliwych, i on tym jadem zbolałej swej duszy zatruwa wówczas duszę samego tłumu. Najlepsze wyjście z tej walki odwiecznej, mistyczny altruizm geniusza przypomina mi pocałunek Almanzora, którym on udzielał Maurom dżumę i śmierć:

> „Pocałowaniem wszczepiłem w duszę
> Jad, co was będzie pożerać, .
> Pójdźcie i patrzcie na me katusze,
> Wy tak musicie umierać."

Zwyrodnienie geniusza, do którego społeczeństwo całą mechaniką ślepych swych sił wciąż dąży, odbija się następnie na niem samem zatruciem jego atmosfery duchowej. I nic dziwnego, że Nordauowie uważają za zwyrodniałych już nie samych tylko geniuszów, ale także Europę całą. To natura dążąca do wydania gatunków coraz wyższych i tępienia niższych, mści się na stadach, któreby chciały oprzeć się jej prawom nieubłaganym lub odwrócić ich porządek: utrzymać przy życiu gatunki biologiczne niższe, a wytępić wyższe. Wówczas trupy gnijące tych ostatnich zarażają atmosferę duchową samego stada i ono żyć musi i oddychać miazmatami dekadencyi, pesymizmu, mistycyzmu.

Jest to prawdziwe błędne koło, z którego przy obecnym ślepym empiryzmie kultury społecznej może być tylko jedno wyjście: powolny zanik geniusza. Znaczyłoby to jednak wyrzec się raz na zawsze wszelkiej wyższej cywilizacyi. Oczywista rzecz, iż literatura i sztuka są równoznaczne z geniuszem i talentem. Jeżeli we wszystkich innych dziedzinach masa cokolwiek znaczy, to tu jest ona zupełnem zerem. Ludzie bez talentu, którzy wchodzą do literatury, zaśmiecają ją tylko niepotrzebnie i lepiejby robili, zajmując się uprawą kartofli lub szyciem butów. Nauka, wymagająca dla robót przygotowawczych preparatorów, kompilatorów i popularyzatorów, prędzej już pogodzić się może z tym ogonem ciurów, który za nią się ciągnie. Ale oczywista rzecz, iż nie oni stanowią i robią naukę. Ta powódź drukowanej bibuły naukowej, która obecnie zalewa glob ziemski, może tylko wyświetlać drobnostki i szczegóły wiedzy — ale nic więcej. W gruncie rzeczy granice naszego poznania ściśle zakreślone są przez rozwój mózgowy, tj. przez postęp biologiczny — a żadna technika, żadne laboratorya, żaden ustrój społeczny zastąpić go nie zdoła — one mogą go co najwyżej dopełniać. Pozostawiony samemu sobie, tłum byłby skazany na okonomię i moralność, tj. te formy, które i w mrowisku świetnie się rozwijają. Dla społeczeństwa wytępienie geniusza byłoby równoznaczne z amputacyą głowy — wnętrzności mogą sobie jeszcze potem wegetować. Czy ta klęska da się jeszcze odwrócić — nie wiadomo, ale jedyna nasza nadzieja może być tylko w nauce. Ona rozsieje panującą dotychczas społeczną metafizykę i na miejsce ślepego empiryzmu, który stoczył zwyrodnieniem najszlachetniejsze szczepy ludzkości, postawi świadomą ich kulturę. Wówczas społeczeństwa przestaną spoglądać na geniuszów, jak na naturalnych swych wrogów, których trzeba szczuć i wytępiać, lecz uważać ich będą za największy i najcenniejszy swój dobytek. Nie o reformowanie geniusza tu chodzi — tego trzeba raz na zawsze się wyrzec — lecz o postawienie w warunkach, gdzie jego egoizm wyrażałby się w dobroci. Dobroć może być takimże naturalnym wyrazem egoizmu w pewnych warunkach, jak złość — w innych.

Dr. L. W.



POEZYE

MODLITWY.

Za moje walki i za moc wytrwania,
Za moje ciemnie i za moje słońce —
Módlcie się w ciężką godzinę konania
Człowiecze dusze cierpiące.

Módlcie się za mnie, wolnych wichrów pieśni,
Od łkań smutniejsze, a od rany krwawsze,
Módlcie się fale w zimnej brzegów cieśni,
Zakute w formy na zawsze.

Módlcie się za mnie w tęczowym kościele,
Piersi, marzące o prawdzie zwycięzkiej—
Módlcie się za mnie, drodzy marzyciele,
W godzinę ruin i klęski.

Módl ty się za mnie, wierzbino wychudła,
Nad mętną wodą szarzejąca mgliście,
Módlcie się za mnie wszystkie wyschłe źródła
I wszystkie powiędłe liście.

Módlcie się za mnie, wzgardzeni i sami,
Którym niewiary kłębem bucha serce,
Módlcie się za mnie bluźnierstwem i łzami
Wielcy i święci bluźniercce.

Módlcie się za mnie, chłopskie pola żęte,
Łąki pastewne, spalone pożogą,
Módlcie się, ciszą śmiertelną objęte,
Łany, co rodzić nie mogą.

Módlcie się za mnie, od łez ślepe oczy
I piersi kobiet bez tchu i bez mleka,
Módlcie się serca, które robak toczy
I nic już w życiu nie czeka.

Za moją walkę i za moc wytrwania,
Za moje ciemnie i za moje słońce,
Módlcie się w krwawą godzinę konania,
Człowiecze duchy cierpiące.

Moim modlitwom ktoś w burz zawierusze
Połamał skrzydła i zadławił gardło,
Módlcie się, wszystkie nieszczęśliwe dusze,
Za moją duszę umarłą.
* *

Władysław Sterling.

SPRAWY EKONOMICZNE

Wystawa Przemysłowo-Rolnicza W WILNIE.

Któż nie wie, że oddalenie w czasie lub przestrzeni nieraz dobroczynnie oddziaływa na widza i badacza: wtedy drobne, drugorzędne szczegóły zacierają się i nikną, obraz nabiera pożądanej wypukłości, a obserwujący mo-

że skupić uwagę i doskonale ogarnąć całość.

Po trzech już niemal tygodniach od czasu zamknięcia wileńskiej wystawy przemysłowo-rolniczej, kiedy już o niej zaledwie słabe zostały wspomnienia, nie bez korzyści będzie — jeszcze raz jej trochę uwagi poświęcić.

W r. b. Towarzystwo wyścigów konnych postanowiło urządzić wystawę nie w porze jesiennej, lecz wiosennej. Przecież panowie członkowie tej instytucyi (jest ich *aż siedemdziesieciu!*) niecobowiązani są tłomaczyć się społeczeństwu ze swoich czynności i zamiarów, boć przecie wymownie złożyli dowody, że wystawy urządzają się dla nich, a nie dla ogółu. To prawda, lecz z drugiej strony każda taka wystawa zapuszcza macki do kieszeni owego ogółu, czerpiąc dochody bądź z wystawców za miejsca, bądź z widzów za bilety wejścia, a to sprawę zmienia o tyle, że płacący mają prawo zapytać, *za co oni płacą*. Dla zupełnej swobody w dyskusyi i wyraźnego określenia wzajemnego stanowiska, możnaby przyznać Towarzystwu wyścigowemu jeszcze jedno prawo, streszczające się w tych słowach:

„Robimy wystawy dla siebie, nie dla was; niepodoba się to wam, nie bierzcie w nich udziału, my — obejdziemy się bez was."

Przyyznaję, że tak jasno określone stanowisko byłoby dla wielu ostatecznem rozwiązaniem sprawy, gdyby... w samej rzeczy tak było, gdyby po usunięciu się ogółu wystawy dalej służyły za rozrywkę dla Towarzystwa wyścigów.

Ponieważ jednak dzieje się inaczej, ponieważ dotąd z każdej czynności urządzających wystawę wyziera ustawiczna i silna, *niemal jedynie zaznaczana* dążność czerpania dochodów z kieszeni ogółu, pozostaje niewzruszonem prawo społecznej kontroli i coraz silniej uświadamia się jego nieodzowna konieczność. Jest to tem słuszniejsze, że Towarzystwo wyścigowe ma i w przyszłości dość szerokie pole wyzyskania słabostek natury ludzkiej, poruszając ukryte strony drobnych próżnostek, ambicyjek i zamiłowania do lichych względnie dekoracyj w masie wystawców, a wyzyskując nigdy nie milknące pragnienie rozrywki u ogółu zwiedzających.

Nie możemy się tedy zgodzić na jedyne godło dotychczasowych wystaw — *zasilenie* kasy Towarzystwa wyścigów, na jedyną odpowiedź, acz niewyraźną, lecz dającą się wyczuć w czynach rozlicznych: *stat pro ratione voluntas*, a nie możemy dlatego, że chce nam się *myśleć* i szczerze pragniemy zwiększenia zastępu *zadowolonych*.

Podkreślamy raz jeszcze ten nasz punkt wyjścia, co będzie koniecznem w dalszym ciągu dla wytłomaczenia, czemu tu i owdzie zaciąży nad piórem sprawozdawczem *obowiązująca konieczność* zakłócenia spokoju Towarz. wyścigowego i komitetu urządzającego wystawy z jego ramienia.

Zresztą na ogólnem posiedzeniu dn. 28 maja r. b. Tow. wyśc. uchwaliło następną, dziesiątą w szeregu, wystawę przemysłowo-rolniczą w jesieni r. 1899. Ta okoliczność daje nam pochop w przejęciu się nadzieją, że wypowiedzenie jakiejś cząstki pragnień ogółu — może wywołać niezmiernie pożądane skutki.

Czy wystawy przemysłowo - rolnicze w Wilnie są potrzebne — orzekło toż samo Tow. wyścigowe w r. 1895, kiedy powzięło myśl pierwszą, a ogół ziemian zrazu nieliczne i niezbyt szczerze, lecz potem z wielkim zapałem stwierdził ją i przyklasnął. Nie mamy powodu przypuszczać, że potrzeba się zmniejszyła, owszem raczej z pewną słusznością możnazastrzedz, że wystawy stale i niewzruszenie są coraz konieczniejsze już to z przyczyny bardziej utrudnionych warunków wytwórczości gospodarczej, już też dla zwiększającego się jej zakresu. Zresztą dzisiejsze wystawy są nową postacią jeno w szczątkowych okazach znanych jarmarków, i ta rola ich nie jest najmniejszą, a obok tego niektóre, jak wileńska naprzykład, są niemal jedynym szlakiem dla porozumienia się licznego koła ziemian w sprawach dotyczących ich specyalności. Możność sprawdzenia postępu gospodarstw, nabycia reproduktorów i matek do hodowli, dowiedzenia się o ulepszonych machinach i narzędziach, kupno i sprzedaż nasion i produktów mniejszych gałęzi gospodarstwa folwarcznego — to zadania już szerzej zrozumiane przez ogół. Więc nie dziw, że dotychczasowe wystawy w sprawie bezpośrednich i natychmiastowych korzyści zrobiły najwięcej, choć i tu nie rozwijały się odpowiednio i nie rozszerzały aż nazbyt szczupłych ram pierwotnych. Ten i ów kupował lub sprzedawał, inny własnym przemysłem coś nie coś zdobył z wiadomości i odpowiednich wskazówek na wystawach; ale to już i cała korzyść, rozproszona na jednostki, uwarunkowane indywidualnem zainteresowaniem i zdolnościami. Ani śladu nie spotykamy jakiejś trwałej i celowej pracy zbiorowej, choćby w memoryałach komitetu, sędziów i ekspertów wystawy, jakichś danych liczbowych, wskazań doświadczalnych, wniosków wspartych na całym szeregu cyfr i faktów, słowem nic, coby świadczyło, że ów komitet, sędziowie i eksperci *chcieli i umieli pracować* dla spraw rolnictwa krajowego, dla ogółu współziemian.

Tak się dzieje w tej najlepszej, jak zaznaczyliśmy, stronie wpływów dodatnich już ujawnionych na wystawach wileńskich. Jakże jest smutnym przegląd ze stron innych, równie ważnych, równie, a nawet więcej, korzystnych, lubo korzyść odnośna nie daje się zaraz i dokładnie określić.

Żółć zalewa myśl Wilnianina, kiedy ogląda swoją wystawę, a potem czyta o tem, co się ma robić w Warszawie*), Kijowie itd. Można znieść jeszcze spokojnie to, że komitet wystawy wileńskiej robi niesłychanie mało (w tym roku mniej, niż kiedykolwiek) dla ozdobienia wystawy i uprzyjemnienia jej dla zwiedzających, można sobie nawet życzyć, aby z programu wyrzucono cyrkowe popisy i jarmarczne widowiska, można wreszcie sobie wytłomaczyć nieobecność uzdolnionych i chętnych przewodników po wystawie (np. członków aż nazbyt licznego komitetu) — to wszystko zrobić się da, zrobić się musi. Ale jakże się zgodzić na to, żeby stale być pozbawionym dobrego katalogu, katalogi nader błędne i liche w układzie otrzymywać dopiero ku końcowi wystawy, nie módz się oryentować w poszczególnych oddziałach, grupach, adresach i nazwiskach, zrzec się nawet myśli o poznaniu odmian, rodzajów i gatunków jasno i prawdziwie wskazanych, jak i żyć w krainie złudzeń, ilekroć chodzi o dane naukowe, statystyczne i wykreślające nowe już sprawdzone drogi postępowania. To niepodobna, a jednak — już po raz dziewiąty Tow. wil. narzuciło nam swój odrębny pogląd na te sprawy, swoją nieudolność, swoją apatyę, a ogół to znosił i znosi cierpliwie. Ach, nie! na szczęście w tym roku okoliczności pomogły i przed kasą Towarzystwa wyścigowego stanęło groźne widmo niedoboru, a to pogróżka— niewątpliwie najsilniejsza. Niedobór atoli rozumieć należy tylko w ten sposób, że otrzymano znacznie mniejsze zyski, niż obliczano, o stratach nie może być mowy tam, gdzie się prawie nic nie ma do stracenia.

Wolelibyśmy może świadomość ludzką, a nie okoliczności, jako czynnik decydujący, ale w pewnej mierze cieszy nas ten fakt, który powinien odbić się na energii i dobrej woli komitetu wystawy (*resp.* Tow. wyścigów kon.).

Że wybór czasu na wystawę tegoroczną był nietrafny, dowiodły owe masy główne gości: średni posiadacze ziemscy, liczni dzierżawcy, włościanie, a wreszcie i sami Wilnianie, nie zjeżdżając na czas wystawy do miasta lub nie zwiedzając jej tak ochoczo, jak innych lat. Te masy nie dały się pociągnąć na cacanki rozrywek, na lep niezrozumiałych i fałszywie przedstawianych *obowiązków dla zasad*, na zwodnicze nadzieje korzyści — i miały słuszność najzupełniejszą. Dla nich w praktyce, w najprostszem odnośnie do prac gospodarskich zrozumieniu, czas wystawy od 22 do 31 maja wydał się nieodpowiednim już dla braku czasu wolnego od zajęć, już też dla braku w tym czasie produktów rolnych i ogrodniczych (tych w samej rzeczy na wystawie r. b. prawie nie było). Uprzedzamy tu możliwy zarzut, że i Warszawa zdobyła się na wystawę mało co później; to „mało co później" wynosi jednak dni okrągłych dwadzieścia i w granicach Królestwa Polskiego wypada po ukończonych zasiewach wiosennych, w części już dokonanym pierwszym sprzęcie siana i załatwionej strzyży owiec; wystawa zaś wileńska przypadła *na koniec siewów*, co się tłomaczy warunkami klimatu miejscowego. Nie chodzi nam przecie o teoretyczne rozwiązanie sprawy, która pora roku jest odpowiedniejszą, lecz o zaznaczenie ogólnych i najszerzej popularnych pojęć. Otóż dla czterech gubernij: Wileńskiej, Kowieńskiej, Grodzieńskiej i Mińskiej wystawa w r. b. odbyła się *za wcześnie*. Ten wzgląd powinienby był być rozważonym poprzednio przez Tow. wyścigów, gdyby ono myślało więcej o potrzebach ogółu i rolnictwa, a mniej o sobie i wyścigach, a prawdopodobnie i... totalizatorze.

Tak zaś wystawa wypadła równocześnie z wyścigami, ułatwiając *samą zabawę* dla wybranych; jednocześnie nasuwa się przypuszczenie bardzo prawdopodobne: może liczono, że goście wystawy wesprą za jednym zamachem wyścigi i totalizatora, lub odwrotnie. I znowu szczerze się cieszymy, że te kombinacye, o ile istniały, w zupełności zawiodły, bo i wystawa i wyścigi ogólnie nie udały się; wprawdzie totalizator robił większe niż zwykle obroty, ale to całkiem z innych przyczyn, które tu nas zupełnie nie interesują.

Można więc śmiało powiedzieć, że za przestępstwo wymierzoną została i kara.

Nikomu, kto zna stosunki wileńskie, nie tajno, że panuje tu straszne zachwaszczenie w tych skromnych rozmiarach pracy społecznej, dozwolonej przez prawo i urządzenia administracyjne. Koteryjność, bezkrytyczne wytwarzanie bohaterów różnej miary i stopnia, filarów opinii, niemal ojców wieloliczniej dziatwy, nepotyzm wstrętny i słabo zamaskowany, ciążenie ku osobistościom i nazwiskom, które już dawno przodować lub świecić przestały w dobrem rozumieniu tych zadań — oto są cechy tutejszego życia zarówno w mieście, jak i na wsi. Mniejsza, że taki stan rzeczy zupełnie wykoszlawił stosunki towarzyskie, mniejsza nawet, że on pociąga za sobą ogólny zastój i odrętwienie, gorzej o wiele, że w ślad za tem wszystkiem idzie ruina ekonomiczna i niechęć lepszych jednostek do pracy, jako nieodłączna towarzyszka tej ruiny. To już groźba przerażająca i wymagająca natychmiastowej usilnej reakcyi.

Wystawa tegoroczna wspaniale ilustruje te stosunki i ciemne strony nasze— pomówimy o nich bliżej przy pobieżnym przeglądzie uczestników, okazów i choćby tylko najwyższych nagród przyznanych. Teraz zaś ograniczymy się na wskazaniu, że dzięki takiemu oświetleniu stosunków panujących na wystawach — dziś

*) Niestety, nie ma nam czego Wilno zazdrościć. *Red.*

już *nikt* w nich nie bierze udziału kwoli szlachetnego i celowego współzawodnictwa, natomiast ogół wystawców dąży pod hasłem: zysku natychmiastowego, choćby czysto kramarskiego, lub marnego popisu.

A propos kramarstwa. Tegoroczna wystawa przeniesioną została na plac Łukiski, o wiele obszerniejszy, co przyniosło jej korzyść ogromną, dając swobodę w rozmieszczeniu budynków i ich urządzeniu wewnętrznem. Chcemy widzieć w tem dobrą wolę i starania komitetu, choć z drugiej strony można twierdzić, że wystawa musiała ustąpić miejsca dorocznemu kiermaszowi majowemu. Tem łatwiej o to twierdzenie, skoro na wystawie rolniczej można było widzieć dalszy ciąg niemal już wstrętnego i stanowczo przeżytego kramarstwa z kiermaszu. I tu skakał prawie do oczu jeden i drugi Niemiec, narzucając swoje tandetne wyroby, i tu spotykało się co krok wstrętną reklamę, nieliczącą się z powagą i całkiem innem zadaniem miejsca, i tu kupczył kto i jak umiał i mógł. To już, zdaje się, specyalna zasługa sekretarza Tow. wyścigowego, który w ten sposób składał dowody swojego uzdolnienia dla obrony interesów kasowych Towarzystwa.

Może ta okoliczność wpłynęła na to, że wszędzie na wystawie r. b. cisnęły ci się do uszu jedynie wyraźne i zrozumiałe wołania: pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy! Ha! wszak to przedsionek, to i nic tak bardzo dziwnego; konie, krowy i świnie zdawały się wołać „pieniędzy“ dla swoich chlebodawców, to wołanie biło natarczywie zewsząd do oczu i uszu gościa, mógłbyś pomyśleć, że bieda i nędza... „Furda, panie dobrodzieju! proszę z łaski swej zajrzeć do paru najlepszych hoteli, do knajpy zamiejskiej, do salonów arystokracyi rodowej! Huczno, gwarno, strojnie i bogato, jak nigdy! Dla nich to tylko była w tym roku wystawa“ — rzuca nam w ucho gniewny dzierżawca, który nic nie mógł kupić, bo sam nic nie sprzedał.

Oto w kilku słowach sprawozdanie z obrotów handlowych wystawy.

(D. n.).

Napoleon Rouba.

W DALI.

Kielce. Na gub. Kielecką, liczącą blizko milion mieszkańców, jest tylko jedno gimnazyum klasyczne w Kielcach i progimnazyum w Pińczowie, a innych zakładów prywatnych, które dawniej istniały, dzisiaj niema. Obecnie na 30 miejsc wolnych w klasie pierwszej gimnazyum kieleckiego jest 170 kandydatów. Dawniej były w Kielcach cztery oddziały równoległe; o ich przywrócenie prosiła p. Ligina deputacya podczas jego wizyty w Kielcach. P. Kurator przyrzekł, że od początku roku szkolnego w pierwszej klasie będzie otwarty oddział równoległy; kwestya tylko, czy będzie w gmachu gimnazyalnym pomieszczenie dla innych oddziałów. Delegaci zapewnili, że w razie potrzeby dostarczą środków na najem lokalu; p. kurator oświadczył, że wobec tego żadnych przeszkód nie będzie. Następnie proszono o założenie w Kielcach szkoły realnej, technicznej lub rzemieślniczej. P. kurator przyrzekł kwestyę tę rozpatrzyć przychylnie.

Piotrków. Obywatele m. Będzina wnieśli do piotrkowskiego rządu gubernialnego podanie o pozwolenie na założenie w Będzinie kasy pożyczkowej przemysłowców będzińskich. Do podania dołączono projekt ustawy kasy. Ta sama deputacja rozpoczęła starania o przyłączenie Będzina do Towarzystwa kredytowego m. Piotrkowa. Przytoczono motywy następujące: Będzin posiada 621 nieruchomości zabudowanych, a między niemi 497 domów murowanych, których wartość wynosi 5 mil. rs. Domy te ubezpieczone są we wzajemnem ubezpieczeniu gubernialnem na 1,357,950 rs., w Towarzystwach prywatnych na 586,285 rs. Ogólny dochód z domów murowanych w Będzinie wynosi około 584,064 rs. Są one obciążone długami hipotecznymi w sumie około 1,600 000 rs. i od długów tych obywatele płacą 9 do 12% w stosunku rocznym. Skutkiem wysokiej stopy procentowej rzemieślnicy i drobni przemysłowcy nie mogą korzystać z kredytu wekslowego, a ponieważ nie rozporządzają kapitałami, więc też przemysł w Będzinie rozwijać się nie może Z tych przyczyn byłoby bardzo pożądane jak najrychlejsze otwarcie kasy pożyczkowej przemysłowców, oraz umożliwienie zaciągania pożyczek hipotecznych w Towarzystwie kredytowem m. Piotrkowa.

Petersburg. Na trzeciem posiedzeniu zjazd fabrykantów żelaza rozpatrywał taryfę na przewóz rudy. Przedstawiono prośbę zjazdu przemysłowców górniczych Rosyi południowej o zniżenie taryfy, obecnie obowiązującej, tak, aby stawka na krótką odległość wynosiła $^1/_{85}$, zamiast, jak dotychczas, $^1/_{65}$, na odległość zaś powyżej 1,000 wiorst, $^1/_{150}$. Do tej prośby przyłączyła się większość fabrykantów, dowodząc konieczności tak znacznego zniżenia taryfy tym argumentem, że z powodu braku rudy z nad Krzywego Rogu, będzie można sprowadzać ją z okręgów odleglejszych. Przedstawiciele kolei oświadczyli, że tak znacznej zniżki nie usprawiedliwia obecne położenie przemysłu górniczego. Po ożywionej wymianie zdań, zaproponowano ustanowienie stawki na rudę po [illegible] aż do odległości, na której opłaty przewozowe za rudę i węgiel okażą się jednakowemi, na odległość zaś dalszą do przewozu rudy ma być stosowany schemat taryfowy na węgiel kamienny. Zgodzili się na to przemysłowcy i przedstawiciele kolei prywatnych, podczas gdy przedstawiciel kolei skarbowych oświadczył, że nawet i taka zniżka jest dotkliwą dla kolei skarbowych południowych. Zjazd zamknięto.

Na pomnik Mickiewicza:

Z miasteczka Opoczki, w gub. Pskowskiej:

Marya Rożnowska	1	rs. —	kop.
Zofia Matulanis	1	„ —	„
Bronisława Rożnowska	1	„ —	„
Józef Rożnowski	1	„ —	„
Justyn Geniusz	1	„ —	„
Kazimierz Haraburda	1	„ —	„
Stanisław Noskowski	—	„ 30	„
Adam Sondojewski	—	„ 50	„
Stanisław Tyszecki	1	„ —	„
Antoni Ławiński	1	„ —	„
Janina Ławińska	—	„ 50	„
Jadwiga Ławińska	—	„ 50	„
Leokadya Mufel	2	„ —	„
Zofia Boszniak	—	„ 60	„
Paweł Sakowicz	1	„ —	„
Antoni Wojtkiowicz, sędzia śledczy	5	„ —	„
Władysław Swirski	1	„ —	„
Bolesław Taniowski, weterynarz	10	„ —	„
Paweł Olszewski	—	„ 20	„
Michał Lissowski	1	„ —	„
Waleryan Szulc, leśniczy	12	„ 40	„
Antoni Staniewicz (uczeń z Łucka)	—	„ 50	„
Edward Dzikowski (junkier z Odesy)	—	„ 50	„
Józef Pogorzelski z Iłży	12	„ —	„
Stanisław Pogorzelski z Nietuliska	3	„ —	„
E. Wyszomirski z Pietrozawodzka	3	„ —	„
Włościanie litewscy i Litwini z Homla	8	„ —	„
Czermiński z Zamościa	1	„ —	„
Emil Jacyna z Wyłkowyszek	5	„ —	„

Razem rs. 76, a z poprzedniemi rs. 360 złożono w Kasie Komitetu.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Syn otiecz.* donosi, iż wyszło rozporządzenie, które uwalnia jadących na wystawę do Sztokholmu od opłaty paszportowej, jeżeli wycieczka będzie trwała nie dłużej, niż tydzień.

— *Nov. Wr.* utrzymuje, iż ministeryum spraw wewnętrznych zamierza ograniczyć liczbę loteryj dobroczynnych, ażeby zapobiedz ujemnemu wpływowi na masy ludności. R. 1895 urządzono w obrębie państwa ogółem 390 loteryj na sumę 491,677 rs. 75 kop.

— Kobiety, kończące kursy lekarskie, mają być dopuszczane w charakterze rzeczoznawców do instytucyi sądu pokoju.

— Rozporządzenie ministra komunikacyj, wydane z powodu rozbicia się w kwietniu pociągu na kolei Carycyńskiej, zawiera surową naganę inżenierowi zarządzającemu i napomnienie naczelnikom, tudzież uwalnia od służby maszynistę. Zaleca baczniejszy dozór nad maszynistami na wszystkich kolejach; opracowanie zaś przepisów o ich cenzusie powierza zjazdowi naczelników służby ruchu i taboru ruchomego.

Szkoły. W drugiem gimnazyum męzkiem w Warszawie otwarty będzie z początkiem roku szkolnego oddział drugi równoległej klasy I-ej.

— Wydział prawny uniwersytetu w Tomsku otwarty będzie 1 stycznia 1898 r.

— We Lwowie powstaje nowe gimnazyum.

— Ministeryum oświaty zaleciło ograniczyć liczbę uczenic, wstępujących do gimnazyów i ściśle przestrzegać normy, określonej dla każdej klasy. Okazało się bowiem, iż skutkiem przepełnienia na jedną uczenicę gimnazyów żeńskich wypada tylko 0,6 sążni sześć. powietrza.

— Po otrzymaniu pozwolenia władzy szkolnej na otwarcie klas równoległych oddziału przygotowawczego szkoły technicznej kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, po wyjednaniu potrzebnego funduszu, w tych dniach rozpoczęto roboty około powiększenia gmachu (dobudowanie trzeciego piętra i przeróbka wewnętrzna dolnej części, mieszczącej salę gimnastyczną, muzeum i kancelaryę). Niezależnie od tych robót, przy gmachu frontowym, na dziedzińcu szkolnym, wznoszony jest obszerny budynek na salę gimnastyczną. Roboty z początkiem przyszłego roku szkolnego będą wykończone. (*Kuryer Warsz.*).

Stypendya. Ministeryum oświaty zatwierdziło z zastrzeżeniem praw osób trzecich następujące zapisy:-Konstantego Łukaszewskiego rs. 4,000 na stypendya dla studentów uniwersytetu warszawskiego; Bronisława Krzyżanowskiego rs. 3,500 w papierach publicznych tudzież rs. 1,049 kop. 80 w gotowiźnie na powiększenie funduszu stypendyalnego tegoż uniwersytetu.

Mianowanie. Prezesem Dyrekcyi głównej Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem mianowany wicedyrektor Banku szlacheckiego, p. Arseniew. (*Gaz. Lub.*).

Prasa. Prowizor, p. Bolesław Gładych, otrzymał koncesyę na dwutygodnik *Przegląd Farmaceutyczny* w Warszawie.

— Departament zatwierdził p. Karola Dunina na stanowisku wydawcy, a p. Władysława Andrychiewicza — redaktora *Gazety Sądowej*.

Weterynarya. Sprawy weterynaryjne będą wykluczone z pod opieki inspektoratu lekarskiego. Jednocześnie mają być skasowane posady weterynarzy gubernialnych i powiatowych. Natomiast do wydziałów rządów gubernialnych będą powołani weterynarze gubernialni, którzy zastąpią inspektorów lekarskich.

Wystawy i zjazdy. W Krakowie otwarto wystawę wzorowego bydła czerwonego.

— Szkoła malarska dla kobiet p. Bronisławy Poświkowej w Warszawie otworzyła doroczną wystawę popisową prac uczenic.

— Doroczną wystawę szkoły malarskiej p. Alicyi Nowińskiej w Warszawie otwarto 7 b. m.

— Warsztaty kolei skarbowych otrzymały polecenie przyjmowania do naprawy maszyn rolniczych.

— Zatwierdzono Bank handlowy w Białymstoku.

— W taryfach zbożowych postanowiono wprowadzić zmiany następujące: Opłaty od przewozu zboża na dalsze przestrzenie w komunikacyi wewnątrznej podwyższono. Podniesiono również opłaty od przewozu mąki. Taryfy na zboże, wywożone za granicę, pozostają bez zmiany.

Przemysł i handel. Ogłoszono w „Zbiorze praw“ ustawę wołyńskiego Towarzystwa uprawy chmielu i handlu tym produktem.

— Grono inżenierów warszawskich zawiązało spółkę udziałową z kapitałem 150,000 rs. celem założenia fabryki kwasu węglanego w płynie.

Katastrofy. Z Paryża telegrafują, iż podczas przedstawienia spalił się teatr Neuilly. Kilka osób poranionych zmarło.

— W Berlinie na polu Tempelhofskiem padł ofiarą swego zawodu aeronauta dr. Wölfert, wynalazca „balonu kierowanego," oraz Mechanik Robert Knabe. Balon zapalił się w górze, pękł i spadł na ziemię. Obaj aeronauci zginęli. Powodem katastrofy był motor benzynowy.

Odpowiedzi Redakcyi.

X. X. Zurich—Uniwersytet. Jakiż może być skutek ogłoszenia, w którem ani my nie wiemy, ani czytający, od kogo ono pochodzi?

Panu Rom. J. w El. W wierszach Pańskich jest tylko zwykłe rymowanie zwykłych frazesów.

Pani Jadwidze. Rymy tylko, rymy, a poezyi niema.

A. O. w. Darmsztadzie. Żąda Pan za wiele: wypisać tytuły przekładów dzieł 12 filozofów — niepodobna. Ogólnie tylko zaznaczymy, że prawie każdy z nich był częściowo tłomaczony.

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem** podaje do wiadomości p. p. artystów, malarzy i rzeźbiarzy, iż stosownie do § 1 regulaminu corocznych konkursów Towarzystwa, w miesiącu lutym r. 1898 odbędzie się konkurs malarstwa i rzeźby.

Na konkurs kwalifikują się dzieła, wykonane w ciągu lat 3 ostatnich, jeżeli nie były umieszczane na Wystawie Towarzystwa lub innej w Warszawie, mianowicie z działu malarstwa: obrazy olejne, akwarele, pastele, kartony i rysunki, i z działu rzeźby: wszelkiego rodzaju dzieła rzeźby, snycerstwa i medalierstwa.

Za dzieła konkursowe, mające istotną wartość artystyczną, przeznaczono są nagrody pieniężny, w dziale malarstwa trzy, mianowicie: rs. 400, 200 i 100, i w dziale rzeźby dwie, mianowicie: 400 i 200.

Nie kwalifikują się na konkurs wszelkie kopie i dzieła artystów zmarłych.

Deklaracye w formie zwyczajnej korespondencyi pod adresem Komitetu Towarzystwa przesłać należy przed 3 stycznia 1898 r. n. st.

W deklaracyi winna być zamieszczona treść dzieła, dokładny adres artysty z krótką wiadomością gdzie i kiedy się urodził, oraz w jakiej szkole otrzymał wykształcenie artystyczne.

Prace konkursowe nadesłane być winny do lokalu Wystawy Towarzystwa najpóźniej do dnia 3 (15) stycznia 1898 r. do godziny 3 po południu.

Koszt transportu dzieł konkursowych, par petite vitesse nie przenoszących wagi 10 pudów i opłatę cła od przysłanych z za granicy, o ile dzieła te zostaną przyjęte przez cenzurę rządową i delegacyę Sądu konkursowego ponosi Towarzystwo, z wyłączeniem cła od rzeźb w bronzie.

Regulamin szczegółowy konkursu na żądanie wysyła franco lub wydaje na miejscu bezpłatnie Kancelarya Towarzystwa.

Student-technolog
przygotowywa do konkursowych egzaminów w wyższych zakładach naukowych. Wiadomość: Nowogrodzka 39—11, w redakcyi *Prawdy*.

Tom II
PISM
Aleksandra Świętochowskiego
wyszedł i zawiera:
Tragikomedya prawdy:
On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona.
Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu.
Cena rs. 1 k. 20; przesyłka pocztowa kop. 15

OGŁOSZENIA.

Wyszła z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach
Rozprawa p. t.:
Poeta jako człowiek pierwotny
przez
Aleksandra Świętochowskiego.
Wydanie wytworne na papierze welinowym, str. 52. Cena rubli trzy, na przesyłkę kop. 15.
Skład główny w Administracyi „Prawdy."

Apteka, poczta, telegraf, sklepy, cukiernia i restauracya w Zakładzie. W lecie omnibusy i powozy na pociągi.
NAŁĘCZÓW
5 godzin od Warszawy, godzina od Lublina, 20 minut od stacyi Nałęczów kolei Nadwiślańskiej.
Wody żelaziste. — Zakład Hydropatyczny.
W sezonie letnim od 1-go czerwca do 1-go października kąpiele żelaziste, borowinowe, igliwiowe, mineralne, kumys itp. — Zakład Hydropatyczny cały rok otwarty.—Szczegóły w „Pzewodniku po Nałęczowie," wydanym w r. 1897 (do nabycia w księgarniach i na miejscu).

Do nabycia w księgarniach podręcznik naukowy pedagoga Reussnera
„SAMOUCZEK"
polsko-francuski
najlepsza, najnowsza, najłatwiejsza metoda do bardzo prędkiego nauczenia się języka francuskiego **bez nauczyciela**, z objaśnieniem wymowy i akcentowania. **1-y kurs** 13 zeszytów, **II-gi kurs 24** zeszyty. **Gramatyka polsko-francuska**, 10 zeszytów, każdy po kop. 15 (pocztą kop. 18). Na zaliczkę pocztową wysyła się **tylko 20, 10, lub przynajmniej 6 zeszytów** Skład główny u autora (**Reussnera**) ulica **Złota Nr. 6**, w Warszawie.

WARSZAWSKA
Szkoła Dentystyczna
przyjmuje zapisy, poczynając od dnia 15 (27) maja. Programy wysyła na żądanie gratis.

ZAKOPANE
Do wynajęcia: 5 pokojów, 2 przedpokoje, kuchnia, śpiżarnia, werenda oszklona, ogród, całe urządzenie kuchenne i kredensowe, pościel, bielizna na pościel i stołowa, komfort umeblowania. Punkt zdrowy, centralny, niedaleko kościoła, poczty i apteki Wiadomość: **Włodzimierska 6, m. 15.**

[illegible]
PSYCHOLOGIA DZIECKA
Dr. med. L. Wolberga.
Cena **rs. 2**, z przesyłką pocztową **rs. 2** kop. **20.** Egzemplarze oprawne o **20 kop.** drożej.

Pozostające pod władzą zwierzchnią Ministeryum Finansów
Kursa handlowe dla kobiet
(z kursem przygotowawczym i internatem)
J. Siemiradzkiej
Zapis uczenic oraz wolnych słuchaczek na oddzielne przedmioty codziennie od g. 12 do 1 i od 5 do 7 wieczorem. Przy kursach otwarte są **klasy handlowe** (wykłady wieczorne buchhalteryi, arytmetyki i języków obcych). **Bracka Nr. 25.**

Wydawnictwa „Prawdy."

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tł. K. Lewald — rs. 6.
Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.
L. Liard. **Logika**, tłom. K. Lewald — rs. 1.
A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.
Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny.
L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3.
E. Tylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1.50.
J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — [illegible]
Dr. Azam **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — kop. 40.
N. Hirszband. **Byron w urywkach**, [illegible]
Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie) — rs. 1.
K. Lewald. **Historya XIX w.**, od r. 1800—1888 — rs. 3. k. 30.
E. B. Tylor. **Antropologia** z ilustracyami, przekł. A. Bąkowskiej — rs. 2.
M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej**, tomów dwa—rs. 2.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Staraniem **Spółki Nakładowej** wyszedł z druku:
Henryka Heinego
WYBÓR PISM
tom III-ci i zawiera:
Księgę Le Grand oraz **Noce florenckie**,
w przekładzie
Maryi Konopnickiej.
Cena rubel jeden, na przesyłkę kop. 15.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 6 Іюня 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.